ISSN 0137-8503

PIOMO 9 1985

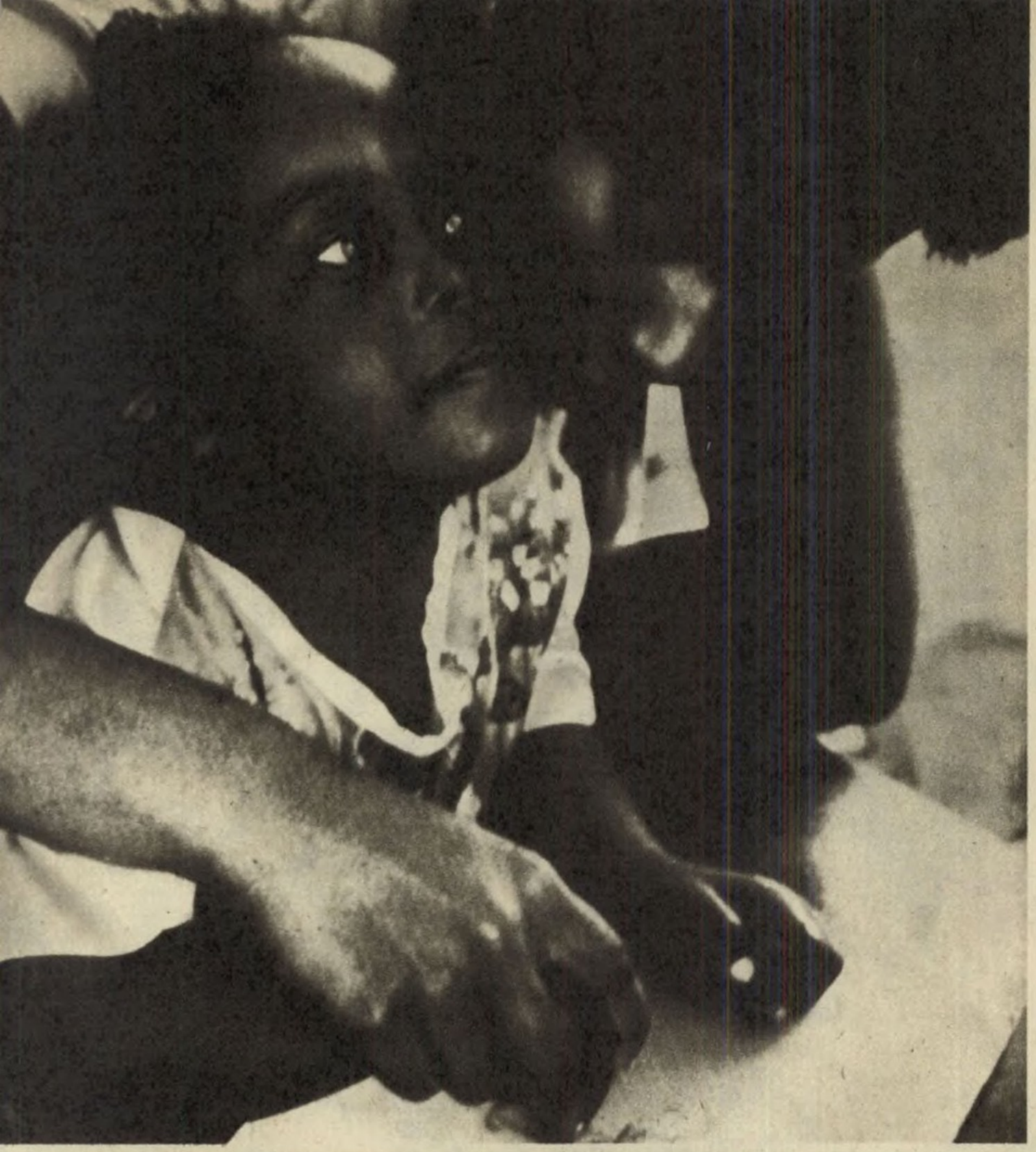

DZIEŃ DZIECKA

– to święto rodzinne całego świata. Życzymy sobie oraz dzieciom i rodzicom we wszystkich krajach, na wszystkich kontynentach, aby w każdej rodzinie było jak najmniej zmartwień i jak najwięcej radości. Aby żadne dziecko na świecie nie czuło się samotne.

MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ DZIECKA obchodzony jest od 1955 roku w różnych krajach pod różnymi datami – najczęściej 1 czerwca. Ustanowiony został przez Zgromadzenie Ogólne ONZ jako „dzień światowego braterstwa i zrozumienia między dziećmi", poświęcony upowszechnianiu idei służących poprawie warunków życia i ochronie praw dzieci całego świata.

Jednym z pięknych przykładów międzynarodowej akcji pomocy dzieciom jest, prowadzona w tym roku staraniem wielu krajów AKCJA POMOCY DLA DZIECI ETIOPSKICH, ginących na skutek klęski głodu, wywołanej katastrofalną suszą. Również Polska uczestniczy w tej akcji. Do Etiopii skierowana została grupa naszych pilotów. Ich zadanie polega na dostarczaniu do trudno dostępnych, położonych w górach miejscowości środków leczniczych oraz żywności.

W wielu krajach, również w Polsce, trwa zbiórka darów i pieniędzy na pomoc dla etiopskich dzieci.

PAMIĘTAJCIE
O SWOICH KOLEGACH
Z ETIOPII

Zorganizujcie w szkołach zbiórkę pieniędzy na pomoc dla nich. A może Samorządy Uczniowskie postanowią przekazać część funduszów przeznaczonych przez Komitety Rodzicielskie na zorganizowanie Waszego Dnia Dziecka na rzecz kolegów z Etiopii?

Pieniądze na ten cel można wpłacać na konto Polskiego Komitetu Solidarności z Narodami Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej:
NBP O/M w Warszawie nr 1153-1717-132
z dopiskiem: Pomoc dla etiopskich dzieci.

„Płomyk" wydawany jest przez Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia".
Czasopismo ukazuje się od 1917 r.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Włodzimierz Barchacz (fotoreporter)
Anna Horodecka
Jan St. Kopczewski (redaktor naczelny)
Maria Kozikowska
Wiesława Krajewska (sekretarz redakcji)
Grażyna Minkowska
Barbara Wiśniewska
Kalina Zarzycka (redaktor graficzny)
Izabella Żur (redaktor techniczny)

RADA REDAKCYJNA:
Waldemar Andrzejewski
Krystyna Czernikiewicz
Marek Fiedorow
Zdzisław Kazimierczuk
Jerzy Kowalski
Mikołaj Kozakiewicz (przewodn.)
Ewa Nowacka
Zdzisław Nowak
Julian Radziewicz
Janina Sołak
Magdalena Tyszka

NA OKŁADCE:
Królewskie imieniny w Człuchowie – PATRZ REPORTAŻ na str. 4
(fot. J. Kraszewski – CAF)

PIERWSZE W POLSCE ŚWIĘTO DZIECKA

Po raz pierwszy święto dzieci obchodzone było w naszym kraju przed 57 laty, w roku 1928. Święto nazwano „Tygodniem Dziecka", jako że trwało cały tydzień – od 17 do 23 września. Przez kogo i po co został zorganizowany?

I wojna światowa, zakończona w 1918 roku, pociągnęła za sobą ogrom zniszczeń. Zginęły miliony ludzi. Wiele dzieci straciło rodziców, wiele było opuszczonych i bezdomnych. Przedstawiciele różnych państw zaczęli rozważać, jak można pomóc tym dzieciom. Powstał nawet Międzynarodowy Związek Opieki nad Dzieckiem, który w 1923 roku proklamował w Genewie Deklarację Praw Dziecka.

W Polsce sytuacja była szczególnie trudna. W kraju zniszczonym działaniami wojennymi i rabunkową gospodarką zaborców brakowało środków na organizowanie państwowej opieki nad dziećmi. Istniejące sierocińce, przytułki dla dzieci bezdomnych były utrzymywane przez klasztory zakonne lub stowarzyszenia, dzięki pieniężnym datkom ludzi zamożnych. W zakładach tych, uzależnionych od dobrej woli ofiarodawców, panował często głód, brak było należytej opieki. Również dzieci mające rodziców, lecz pochodzące z biednych rodzin robotniczych i chłopskich żyły w ciężkich warunkach. Musiały wcześnie rozpoczynać pracę zarobkową, nie wszystkie mogły chodzić do szkoły. Nie miały zapewnionej należytej opieki lekarskiej. Dzieciom działa się krzywda.

Dostrzegali to wyczuleni na społeczną krzywdę postępowi działacze. Z ich inicjatywy powołano Polski Komitet Opieki nad Dzieckiem. Komitet ten postanowił zorganizować w Polsce w 1928 r. Tydzień Dziecka, aby zainteresować potrzebami dzieci całe społeczeństwo, aby uświadomić wszystkim, że od właściwego wychowania młodego pokolenia zależy przyszłość Polski. Reklamowano hasła Tygodnia Dziecka na ekranach kin, afiszach, rozrzucano ulotki, rozdawano broszury, odbywały się odczyty, nadawano specjalne pogadanki radiowe itd.

Pierwszy dzień Tygodnia był obchodzony jako Święto Dziecka, a kolejne dni to: dzień niemowlęcia, dzień wychowania fizycznego, dzień wychowania umysłowego, dzień wychowania moralnego, dzień dziecka pracującego i kształcącego się zawodowo. Ostatni dzień Tygodnia, 23 września, był Dniem Matki.

Jak przed 57 laty przebiegało Święto Dziecka w Warszawie? Miasto udekorowane zostało kolorowymi flagami i plakatami. Wystawy sklepów przybrały świąteczny wygląd. Pogoda dopisała – był piękny, słoneczny dzień. Dzieci zbierały się rano w swoich szkołach, skąd maszerowały z muzyką, kwiatami i chorągiewkami na punkt zborny. Ulicami Warszawy przedefilował pochód dzieci ubranych w barwne stroje. Po południu odbywały się gry i zabawy na placach, boiskach, w parkach i ogrodach. Grały orkiestry. Zorganizowano loterie fantowe, wycieczki zamiejskie, w tym również wycieczki statkiem po Wiśle. Odbywały się bezpłatne widowiska w teatrach i kinach. Wstęp do Ogrodu Zoologicznego był również w tym dniu bezpłatny.

Dla dzieci biednych organizowano gry i zabawy w poszczególnych dzielnicach Warszawy. Wyświetlano filmy, obdarowywano dzieci słodyczami, owocami, książkami.

Wszystkie te szlachetne inicjatywy dostarczyły dzieciom wiele atrakcji, a dla dzieci z ubogich rodzin dzień ten był rzeczywiście całkiem wyjątkowy. Niestety, niczego nie mógł zmienić w ich codziennym życiu.

A co o Święcie Dziecka mówił Janusz Korczak? Człowiek dostrzegający nie tylko materialne, ale i moralne krzywdy, na które narażone były dzieci w wielu rodzinach – i biednych, i ubogich – a także wśród rówieśników. Korczak radził, aby Dzień Dziecka stał się świętem pojednania i przymierza dorosłych i dzieci. By w każdej szkole i w każdym domu znaleźć czas na serdeczną i szczerą rozmowę – co komu przeszkadza, jakie kto ma kłopoty. Bo troski i smutki mają zarówno dorośli, jak i dzieci. *„Przebaczyć, zapomnieć żale, złożyć obietnicę wzajemnej pobłażliwej przyjaźni"* – oto propozycja Janusza Korczaka.

Wielki pedagog podpowiedział także, aby Dzień Dziecka uczynić dniem Zgody, Radości, Koleżeństwa i Uprzejmości dzieci między sobą. *„Postanowimy wszyscy* – pisał Korczak w imieniu dzieci – *nawet ci, którzy cały rok dokuczają, biją się i przeszkadzają w zabawach – żeby w Dniu Dziecka było dobre koleżeństwo, żeby się nawet przeprosili, jeżeli ktoś się gniewa. – Dorośli będą dla nas dobrzy i my będziemy dla siebie dobrzy. Rok ma 365 dni. Niech chociaż ten jeden dzień szkolny w roku będzie bez kłótni, bez gniewu. Jeżeli się uda, możemy częściej takie dni urządzać".*

Słowa Janusza Korczaka, choć zapisane przed pół wiekiem, nie straciły aktualności. Warto je przypominać przed każdym Dniem Dziecka.

DANUTA SŁOWICKA

Kłodawa – miasto soli

Kłodawa to niewielkie miasto w województwie konińskim, leżące na Wysoczyźnie Kłodawskiej nad rzeką Rgilówką, przy międzynarodowej trasie E-8 i linii kolejowej Warszawa-Poznań. Liczy obecnie ok. 7 i pół tysiąca mieszkańców.

Według tradycji już w 1085 r. Władysław Herman ufundował tu kościół św. Idziego. Pierwsza wzmianka historyczna o istnieniu miejscowości pochodzi z 1193 r. W 1430 r. Kłodawa otrzymała od Władysława Jagiełły prawa miejskie. Największy rozwój Kłodawy przypada na XV i XVI w. Istniała tu wtedy szkoła podległa Akademii Krakowskiej. Wykładał w niej m. in. Sędziwój z Czechla – wybitny prawnik i teolog. Pomyślny rozwój Kłodawy został przerwany w XVII w.; w 1655 r. miasto zniszczyli Szwedzi, a zarazy zdziesiątkowały jego mieszkańców.

Najnowsza historia Kłodawy – jej powojenny rozwój – wiąże się z odkryciem w latach 1947–48 złóż soli potasowych. Dalsze badania doprowadziły do udokumentowania bogatych pokładów soli kamiennej. Budowę kopalni zapoczątkowano w 1949 r., a wydobycie rozpoczęto w 1956 r. Jest ono prowadzone w trudnych warunkach geologicznych przy stałym zagrożeniu wodnym i wysokim stopniu zagrożenia metanowego. Sól kłodawska o zawartości 98,5% NaCl, bogata w mikroelementy, jest szczególnie wartościowa jako artykuł spożywczy, służy też jako surowiec dla wielu gałęzi przemysłu chemicznego w kraju i za granicą.

Dziś Kopalnia Soli „Kłodawa" jest największym zakładem wydobywczym tego typu w Polsce. Przybyszów wita w Kłodawie charakterystyczny pejzaż górniczy: wysokie hałdy ziemi oraz trzy szyby: „Michał", „Chrobry" i „Barbara".

Obok kopalni powstało osiedle mieszkaniowe, które ciągle się rozrasta. Wzniesiono też wiele nowych obiektów, m. in. Dom Górnika, kino, szkołę podstawową i przedszkole. Oprócz Liceum Ogólnokształcącego powstało w Kłodawie Technikum Górnicze i Zasadnicza Szkoła Górnicza.

Kłodawa jest niezbyt znanym miastem. Myślę jednak, że ze względu na kłodawską sól używaną chyba przez wszystkich Polaków, zainteresowanie Kłodawą powinno wzrosnąć. Używając soli do potraw, pomyślcie sobie, że pochodzi ona z Kłodawy, z miasta, które pomimo różnych jego wad bardzo lubię i chciałbym, aby nadal się rozwijało.

Katarzyna Lisowska, lat 15

Ach, co to były

Z wizytą w Szkole Podstawowej nr 3 im. Kazimierza Jagiellończyka w Człuchowie

Czy braliście kiedy udział w imieninach szkoły? Bo ja nie. Ale pewnego dnia do naszej redakcji wpłynęło zaproszenie:

„Dnia 4 marca 1985 roku odbędą się w Szkole Podstawowej nr 3 im. Kazimierza Jagiellończyka w Człuchowie imieniny szkoły.

Na uroczystość serdecznie zapraszają uczniowie, rodzice oraz nauczyciele".

– To jest coś! – wykrzyknął ktoś w redakcji. I od razu spojrzeliśmy na mapę: Człuchów... Człuchów... Gdzie to może być? Toruń, Bydgoszcz, Szczecinek... Jest! Przycupnął sobie na dole, w samym rogu woj. słupskiego. Miny nam zrzedły. Daleko! Ale jak tu nie pojechać na imieniny? Po prostu nie wypada!

Pierwsze wrażenia

Wstępne wiadomości o Człuchowie zdobyłam już w taksówce od kierowcy, który nie omieszkał mnie od razu poinformować, co w jego mieście bezwzględnie warto zobaczyć. A więc przede wszystkim krzyżacki zamek z graniastą wieżą, w podziemiach której być może (kto to wie?) znajduje się owa słynna i wciąż tak poszukiwana bursztynowa komnata... Poza tym godny obejrzenia jest zabytkowy kościół, trzeba też wstąpić do muzeum pełnego dawnych pamiątek i wyrobów rzemiosła artystycznego. No a latem główną atrakcję stanowią tu jeziora i lasy ściągające tysiące turystów.

Kiedy podjechaliśmy pod człuchowską „Tysiąclatkę" – niezmiernie długi i rozgałęziony budynek, pomalowany w wesołe żółto-brązowe pasy, już na dziedzińcu wyczuwało się imieninowy nastrój. Z samochodów wynoszono bowiem piramidy różowych tortów...

– To bardzo obiecujące! – powiedział ktoś z przybyłych gości.

W ślad za tortami weszliśmy do wnętrza szkoły, wpadając od razu w wir imieninowej nerwowej krzątaniny, kiedy to wydaje się, że już wszystko zapięte na ostatni guzik, a jednak ciągle jeszcze czegoś brakuje... Zadziwiające opanowanie wykazywał tylko dyrektor szkoły – pan Józefat Grabowski.

– Ja jestem z boku, tylko inspiruję, niech samorząd szkolny się martwi – powiedział spokojnie i zaraz pochwalił się nowym garniturem kupionym specjalnie na tę uroczystość, wskazując jednocześnie na nowe toalety pań nauczycielek.

Rozglądamy się wokół, na próżno jednak reporterzy przybyli z redakcji wojewódzkich gazet starają się zasięgnąć języka u gospodarzy.

– Pst! Tajemnica. Niespodzianka. Zobaczycie!

No cóż, trzeba trochę „pomyszkować" po szkole korzystając z ogólnego zamieszania. Długie jak tasiemce korytarze ukwiecone i oblepione gazetkami; prezentują się w nich chyba wszystkie klasy, jak też – spółdzielnia, SKO, różne kółka zainteresowań, a przede wszystkim samorząd – jak się potem okazało filar i opoka szkoły.

Nie brak haseł, dowcipnych plansz, fotografii. Ze wszystkich stron spoglądają portrety Jagiellończyka, malowane na konkurs, na wzór Matejki albo na swój własny sposób. Gdzieś w zakamarkach szkoły, w Izbie Pamięci, odkrywam wspaniały portret monarchy wykonany przez pomysłowego rodzica z kawałków materiału, złoconego papieru i sznurków. Jagiellończyk mniej oficjalny, zupełnie swojski i bliski.

Są wiadomości o królu, który wsławił się uzyskaniem dostępu do morza po zawarciu z Krzyżakami pokoju toruńskiego w 1466 r.

Są też poświęcone dzisiejszemu solenizantowi wiersze, z których cytuję jeden z bardziej udanych, pióra Małgosi Lewandowicz z VIII klasy:

Naród wiodłeś do boju,
Gromiąc krzyżacki zakon
Dbałeś o lud wierny tobie,
Dziś dziękujemy ci za to.

Znają tajemnic wiele
Drzewa i zamku ruiny,
Imię twe nosi szkoła,
W której się dziś uczymy.

Dwór królewski w całej okazałości

za imieniny!

„My Kazimierz Jagiellończyk..."

Nie sposób obejrzeć wszystkich prac, gdyż trzeba śpieszyć do położonej obok szkoły ogromnej sali gimnastycznej wypożyczonej od klubu sportowego. Tu już młodzież w komplecie plus rodzice i goście. Gala w całej pełni: hymn szkoły, wniesienie sztandaru przy ogłuszających dźwiękach werblistów i trębaczy w harcerskich mundurach.

Ten zespół, jak się dowiedziałam, jest specjalnie hołubiony przez dyrektora – działacza harcerskiego.

– Która szkoła może się pochwalić tak „silnym uderzeniem"? – pyta z dumą.

A tymczasem paziowie wnoszą tron i rozścielają długi chodnik. Wszyscy w napięciu spoglądają w stronę drzwi. I oto za chwilę na salę wkracza królewski orszak – Jego Wysokość Król Kazimierz Jagiellończyk, w koronie i z berłem w ręku, w towarzystwie dostojnej małżonki i dworu. Monarcha (od lat postać tę kreują absolwenci szkoły) – w długim płaszczu i pięknym żółtym stroju ozdobionym koronkami i haftami. To dzieło matek, podobnie jak szaty królowej, do złudzenia przypominające strój Barbary Radziwiłłówny z filmu o królowej Bonie. To samo nakrycie głowy, perły, podobna suknia.

– Kiedyś wypożyczaliśmy królewskie szaty z teatru – wyjaśnia jedna z uczennic – w Gdańsku, a potem w Toruniu i Słupsku, ale było to kłopotliwe. Dobrze więc, że znalazły się tak chętne i uzdolnione matki.

Dworzanie również przystrojeni są według ówczesnej mody. Jest nawet królewski wesołek w błazeńskiej czapce.

Król z niezwykłą powagą i dostojeństwem zasiada na tronie, gotów do objęcia władzy. Jej symbolem są olbrzymi klucz i metrowej chyba długości ołówek, który monarsze wręcza dyrektor.

Władca rozwijając pergamin opatrzony pieczęcią odczytuje edykt:

„My Kazimierz Jagiellończyk z Bożej łaski Król Polski i książę litewski ogłaszamy wszem i wobec, iż dzień 4 marca, obchodzony będzie zawżdy jako imieniny Kolegium Mniejszego w grodzie Człuchów. Żacy niech w dzień ten władają przybytkiem wiedzy i igrce wszelakie – byle mądre – wyczyniają". Tak więc władza zostaje z kolei przekazana uczniom.

Brakuje tylko współczesnego imiennika króla. Niestety wśród 1600 uczniów „Tysiąclatki" nie udało się znaleźć ani jednego Kazimierza. Również i w innych szkołach szukałbyś takiego ze świecą. Jak widać, mona na Kazików na razie przesz-ła. Wreszcie po długich poszukiwaniach udało się odnaleźć w przedszkolu „pacholę" imieniem Kazimierz i wypożyczyć je na imprezę.

Teraz mały Kazio stoi zalękniony pod obstrzałem aparatów fotograficznych i pewnie by się rozpłakał, gdyby nie otrzymał pięknego misia. Honor zaś dorosłych Kazimierzów ratuje jakiś rodzic, który również zostaje uroczyście przedstawiony.

Przed tron królewski płyną tymczasem dary. Śpieszą z nimi uczniowie innych człuchowskich szkół – podstawowych i średnich, ojcowie miasta sypią groszem na szkolne potrzeby, zwłaszcza na budowę nowej hali sportowej, a rodzice składają wielką księgę, gdzie spisane są dary imieninowe. Czego tam nie ma! I kwietniki na ściany, i pomoce do nauki, plansze, stojaki, regały przeznaczone na hodowlę roślin i zwierząt. Sumiennie zanotowano pranie zasłon, malowanie ławek i inne prace porządkowe. Figuruje też pieczenie imieninowych tortów na niebagatelną sumę od 2 do 3.500 zł od sztuki!

Ktoś przyniósł portret Jagiellończyka, ktoś inny dowcipne laurki. Ale czas już na rozpoczęcie wielkiego turnieju, który ma się odbyć w szkolnej świetlicy, w obecności króla i dworu pod hasłem „Wszystko za wszystko".

Turniejowe niespodzianki

Pomysł turnieju – nie nowy, zaczerpnięty z telewizji. Nawet piosenka ta sama, w wykonaniu chóru.

Do turniejowych zmagań staje szkolny samorząd i... władze miasta. Jest też przedstawiciel TPD i Miejskiej Rady Narodowej. Obie strony nieco stremowane – nie wiadomo bowiem, jak turniej się rozwinie i czy pytania nie będą zbyt kłopotliwe dla władz, ale jak zaznaczył na wstępie przewodniczący samorządu: „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi".

Najpierw – ulgowo – krótki sprawdzian wiadomości: ile mieszkańców liczy Człuchów (ok. 12 tysięcy), jaki jest herb grodu (głowa wołu na niebieskim tle) i jak się nazywa największy zakład produkcyjny (Zakład Urządzeń Technologicznych). Są też pytania związane z rodzicielską pomocą w odrabianiu lekcji, jest nawet sprawdzian znajomości szkolnych lektur („czy czytał pan „Pamiętniki Paska"?).

Indagowani o wiele chętniej odpowiadają na pytanie dotyczące własnej pracy i planów na przyszłość.

Ale samorządowcy są dociekliwi, przypierają do muru. W mieście jest tyle bolączek. Czy nie można by uruchomić jeszcze kilku linii autobusowych – miasto jest przecież tak rozległe. A poza tym mieszkańcy woleliby, aby stolicą województwa był Koszalin, gdyż łatwiej tam dojechać.

Człuchowowi przydałby się koniecznie nowy szpital – stary już się niemal rozlatuje. No, i nowe kino. Niezbędna jest też oczyszczalnia ścieków. Tyle jezior, a właściwie nie ma gdzie łapać ryb. Łowi się jakiś drobiazg – żadna to satysfakcja dla rybaków-hobbystów, których w szkole nie brak. W czystych wodach mogłyby się rozmnożyć szczupaki, a może nawet sieje...

Jeżeli w województwie brakuje nauczycieli, to dlaczego nie zachęca się młodzieży do podjęcia tego zawodu?

– A czy pan może zgadnąć, jakie jest nasze największe marzenie? – pada nieoczekiwane pytanie. Sekretarz KW, do którego jest ono skierowane, zgaduje: uzy-

Odczytywanie królewskich edyktów

skać promocję do następnej klasy? Mieć czyste wody? A może, chodzi o nowy basen? Ależ tak, oczywiście! Basen jest najważniejszy!

Niestety, jak się okazuje trzeba jeszcze na niego poczekać kilka lat. Na razie wykańcza się przy „Tysiąclatce" wielką aulę sportową. Buduje się też w mieście nową szkołę.

Są jeszcze ostre pytania pod adresem Komendy Chorągwi – żaden jednak przedstawiciel harcerzy, przeczuwając może atak, nie przybył na imprezę.

Do odpowiedzi wzywana jest też prasa. Na szczęście wasz reporter został potraktowany stosunkowo łagodnie.

Mija trzecia runda pytań. Po każdej – niespodzianki. Oto sprzęt pływacki dla sekretarza i bilet wstępu do przyszłego basenu „Pod żabką". Uczniowie wnoszą jednocześnie wielkie paki z kafelkami kupionymi dla tegoż basenu.

– My nie tycy, żeby tylko wymagać – mówi następnie przewodniczący samorządu Damian Kordykiewicz – i składa na ręce przedstawiciela oświaty sumę 180 tys. zł, uzyskaną ze zbiórki surowców wtórnych, na rzecz Narodowego Czynu Pomocy Szkole.

Jako dary pojawia się ozdobna skrzynia i dwa garnce prawdziwego miodu z królewskich barci (może na osłodzenie władzom życia?).

I oto – uwaga! – ktoś wnosi na szklanej tacy dwie mizerne rybki – dla przypomnienia, że nie takie okazy powinny żyć w człuchowskich jeziorach. Ktoś inny stawia tacę z „chrupiącymi bułeczkami". Takie właśnie pieczywo zaczęła sprzedawać sąsiednia piekarnia, odkąd jej kierownikiem został absolwent „Tysiąclatki".

Ku ogólnej wesołości na salę wjeżdża miniaturowe łóżko z pościelą, jako zadatek na nowy szpital.

Ktoś wnosi olbrzymiego misia z wielkim czerwonym sercem wyciętym z papieru. To dar dla cieszącej się ogólną sympatią pani Marii Danuty Kordykiewicz – wicedyrektorki szkoły – która przed pięciu laty zainicjowała imieniny „Tysiąclatki" i zawsze jest pełna nowych pomysłów. Dlatego uczniowie marzą o przyznaniu jej „Szkarłatnej Róży".

Dla dyrektora też jest niespodzianka. Otrzymuje z rąk Miłościwego Władcy... ozdobną kołyskę z wielką lalką, jako prezent dla tych, którzy ewentualnie zdecydowaliby się na pacholę imieniem Kazimierz...

I wreszcie coś dla gości – kuchciki w wysokich białych czapach wnoszą na tacach ciasto uformowane w kształcie jeży z kolcami (znakomite!).

Osobliwe lekcje

Co dalej? Reporterzy znaleźli się teraz w kłopocie. Nie wiadomo, co wybrać – czy oglądać turniej paziów, będący popisem zręczności, czy finał konkursu poetyckiego i plastycznego, czy też odbywające się

Bez werblistów i trębaczy nie może się obejść żadna szkolna uroczystość, a cóż dopiero imieniny szkoły...

równocześnie „lekcje" prowadzone przez rodziców. Wybrałam to właśnie zaglądając do poszczególnych klas. Okazało się teraz, gdzie powędrowały te piramidy tortów (bynajmniej nie kryzysowych), które zobaczyłam na dziedzińcu. Otóż wylądowały one na szkolnych ławkach. W każdej klasie – jeden tort, jako prezent od mam, które wysiliły całą swą artystyczną inwencję na wymyślne ozdoby.

Tu muszę podać wam przepis na pączki, jakie w VII klasie dał chłopcom jeden z ojców (było to właśnie przed świętem kobiet):

1 serek homogenizowany
1 1/2 szklanki mąki
3 całe jaja
1 paczka cukru waniliowego
1 pełna łyżeczka proszku

Wszystko wymieszać i kłaść łyżką na gorący olej.

Żałuję, że nie zanotowałam też „przepisu" na uszycie kloszowej spódnicy i bluzki o modnej linii – nietoperz, podanego przez tegoż rodzica, który swe praktyczne rady przeplatał jednocześnie opowieściami o dawnej broni i mundurach.

W innej klasie trafiłam z kolei na podróżnicze opowieści o dalekich wyprawach, połączone z pokazami różnych pamiątek. Gdzie indziej rodzice mówili o wyborze zawodu, a chirurg udzielał fachowych wyjaśnień ze swej specjalności. Trafiłam też na spotkanie prawnika ze starszą młodzieżą, niezwykle burzliwe, bo dotyczące różnych nałogów.

Jak się przed nimi bronić? Młodzież oponowała przeciwko ostrym zakazom czy karom (to co zabronione bardziej pociąga). Lepiej „postraszyć" pokazując odpowiednie filmy i wygłaszając fachowe prelekcje: Zobacz, bratku, do czego prowadzi twoja lekkomyślność. Spójrz, palaczu, jakie masz płuca, jak alkohol niszczy twój organizm, jak narkotyki cię degenerują...

– Po takich pokazach może przejść ochota na sięganie po te środki – mówi ktoś z obecnych. Szkoda tylko, że w szkołach za mało się mówi o tych sprawach.

– Dużo też zależy od was samych – dodaje prawnik. Jeśli zobaczysz, że z kolegą jest coś nie w porządku, nie rób szumu, nie leć na skargę, ale sam spróbuj odpowiednio go ustawić. Najgorsza jest obojętność otoczenia...

Kiedy wychodzę z klasy, dyskusja trwa, widocznie temat mocno chwycił.

Gdy są pomysły

Trzeba jeszcze porozmawiać z samorządem.

– Jak widać, wszędzie was pełno – zagajam rozmowę. Samorządowcy (głównie uczniowie z siódmych i ósmych klas) są wyraźnie zadowoleni.

– O to nam właśnie chodzi – mówi Damian. – Chcemy wszędzie wsadzać swoje trzy grosze, by nas było widać. Musimy wodzić rej i w różnych pracach społecznych, i w szkolnych imprezach, jak choćby w imieninach szkoły. A kiedy się coś uda, w nagrodę urządzamy dyskotekę.

– Dyrektor daje nam dużo swobody, choć czasem stawia veto i trzeba go przekonywać.

– Lubimy urządzać giełdy hobbystów i konkursy estetyki, pokazy filmów w naszym telewizyjnym studiu.

– Pełnimy codziennie dyżury na korzytarzach, kierując ruchem, kiedy to wychodzi jedna zmiana i przychodzi następna. Trzeba pilnować, żeby te dwie fale nie zderzyły się ze sobą.

– Zawsze jesteśmy gotowi udzielać pomocy w nauce. Ale na ogół korzystają z tego tylko młodsi koledzy. Czyżby nasi rówieśnicy wstydzili się prosić o pomoc?...

– Odbiciem tego co robimy, jest nasza gazetka „Jagiellonka" (szkolna spółdzielnia też się tak nazywa, drużyna harcerska nosi nazwę „Jagiellonki", a szczep „Mile-

Coś smakowitego dla gości; ciasto uformowane w kształcie jeży z kolcami

nium"). Gazetkę często zmieniamy. Zwykle jest trochę informacji, satyra, humor, zdjęcia.

– Satyryczne pióra wykorzystujemy również w naszym samorządowym kabarecie, z którym występujemy przy różnych okazjach, np. na święto kobiet. Ma w nich miejsce i satyra szkolna, i różne (zależnie od okoliczności) facecje, anegdoty, ciekawostki zebrane w prasie czy zaczerpnięte z literatury. Są też piosenki.

– Kiedyś wystąpiliśmy w zakładzie pracy i to nawet z powodzeniem. To nas zachęciło do dalszych wystąpień poza szkołą.

– A czy pani widziała zdjęcia z naszego balu romantycznego? Bomba! Pomysł podsunęła nam nasza opiekunka, pani Bożena Rzeszuto, z którą zawsze możemy się świetnie dogadać.

– Wydaliśmy nawet balowy edykt tej treści: *„My zebrani na balu wybrańcy losu z własnej i nieprzymuszonej woli zobowiązujemy się:*
– bawić beztrosko bez względu na wiek, płeć, stan cywilny, stan służbowy i stopień powagi,
– ponuraków, jako element nastrojowo obcy, zaliczyć do nieobecnych,
– nie obgadywać sąsiadów i nie wygłaszać zgryźliwych uwag o organizatorach,
– nie wybrzydzać na program artystyczny i fundowane nagrody, bowiem darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby,
– uczestniczyć w konkursach i zabawach oraz z całego serca dopingować zmagających się na scenie zawodników.

– Bal rozpoczęliśmy polonezem, nastrojowo, przy świecach. Dziewczęta w długich sukniach, chłopcy w garniturach. Przy odprowadzaniu całowali nawet partnerkę w rękę, składając głęboki ukłon. Pani powiedziała, że to uczy nas dobrych manier. Odtąd zawsze, kiedy idziemy do teatru czy na jakieś imprezy, pamiętamy o tzw. kulturze bycia. Ale i w szkole chłopcy trochę po tym balu wygrzecznieli wobec dziewcząt, że aż czasem wydaje się to dziwne...

– Jeśli chodzi o bal, to oczywiście były również tańce nowoczesne. I tu wprawił nas w podziw dyrektor, który szałowo odtańczył rock and rolla.

– Podobnie jak bal udane też były wybory miss i mister „Jagiellonia 84". Obecnie ogłaszamy wybory na najmilszą dziewczynę. Oprócz wdzięku i uroku osobistego, będą się liczyły takie zalety jak uczynność, koleżeńskość, życzliwość, pogoda ducha. No i obycie. W poprzednich wyborach ocenialiśmy np. umiejętność nawiązywania rozmowy w pociągu. Były też testy na inteligencję i ocena sprawności fizycznej.

– Lubimy wymyślać stale coś nowego. Ot, choćby niedawno. Ogromnie zapaliliśmy się do pomysłu, by urządzić w mieście pokojowy pochód z udziałem wszystkich szkół. Opracowaliśmy odpowiednią oprawę, hasła, transparenty, nawet stroje. Cóż, kiedy nie uzyskaliśmy pozwolenia władz. Bo a nuż ktoś zacznie rozrabiać?... Ale nie rezygnujemy, może w tym roku się uda. Przecież to Rok Młodzieży...

– Im bardziej jesteśmy ze sobą zżyci, tym więcej pojawia się pomysłów. Szkoda tylko, że ósme klasy muszą już „odpłynąć".

– Nie wyobrażamy sobie tego momentu (samorządowcy mówią już teraz jeden przez drugiego)

– Porzucić szkołę, z którą było się tak związanym?

– ... która jest drugim domem?

– ... w której można znaleźć pomoc w kłopotach?

– która... – widzę, że moim rozmówcom, już łzy kręcą się w oczach. A co będzie pod koniec roku? Strach pomyśleć!

– Czy pani wie, że kiedy co roku odbywa się pożegnanie absolwentów, kiedy dyrektor przecina symboliczną wstęgę z sercem, słychać ogólne pochlipywanie. Nawet nauczyciele mają niewyraźne miny... A cóż mówić o nas?

Przeglądam jeszcze wypracowania napisane na zbliżające się 20-lecie szkoły.

„Już niedługo opuszczę mury Tysiąclatki – pisze Beata – *zrobię to z wielkim żalem. Bardzo się do niej przywiązałam i chyba do żadnej innej szkoły nie pobiegnę z taką radością, z jaką na pewno biegłam do niej".*

Czyż może być lepsza imieninowa laurka wystawiona szkole, której oby nie szczędził dalszych swych monarszych łask jej miłościwy patron...

Przed odjazdem dyrektor częstuje mnie jeszcze imieninowym pitnym miodem i kawą. A więc mogę powiedzieć: I ja tam również byłam, miód i kawę piłam, a to co ujrzałam, w „Płomyku" spisałam...

P.S. Niestety z rad kierowcy taksówki nie skorzystałam, bo czasu na zwiedzanie Człuchowa zabrakło.

ANNA HORODECKA

Fot. J.Kraszewski – CAF

W oczekiwaniu na turniej: samorządowcy (z prawej strony) gotowi do turniejowych zmagań

Wiosenne śpiewy ptaków

Wiosenne koncerty

Na wiosnę wśród skrzydlatych mieszkańców następują liczne „przetasowania". Przybysze z dalekiej północy, którzy ciężkie zimowe miesiące spędzali w naszym łagodniejszym klimacie – wracają do swojej ojczyzny. Tam właśnie założą rodziny i będą wychowywać potomstwo. Pojawią się ponownie, gdy coraz silniejsze chłody zmuszą je do powrotnej wędrówki. Natomiast przybywają te ptaki, które zimowały w ciepłych krajach.

Wiele z tych skrzydlatych przybyszów to małe ptaki śpiewające. Pojawiają się w różnych terminach. Już na początku marca można usłyszeć piękne „arie" niezwykle utalentowanego wokalisty: drozda śpiewaka. Jest on dla lasów tym, czym słowik dla parków i ogrodów. Popisy drozda niewiele ustępują koncertom słowików, choć te ostatnie zdobyły większą sławę śpiewaczą.

Słowiki pojawiają się dopiero w połowie kwietnia. Występują u nas dwa gatunki tego ptaka: słowik rdzawy i szary zwany polskim. Różnią się one nieznacznie wielkością i ubarwieniem, odmiennie również brzmi ich śpiew. Różnice te są jednak niewielkie i tylko znawca mógłby je bez trudu rozpoznać. Obyczaje obydwóch gatunków są jednak podobne. Jako pierwsze z zimowisk powracają samce i od razu zaczynają koncerty. Najchętniej śpiewają o zachodzie słońca i nocą.

Słowiki, choć mogą być aktywne całą dobę, prowadzą raczej nocny tryb życia. Samiczki, przylatujące później niż samce, wędrują właśnie nocą. Można by sądzić, że te słowicze chóry mają wskazać „damom" odpowiednie miejsce lądowania.

Gdyby jednak taki tylko był sens słowiczych piosenek, to bardzo krótko moglibyśmy się rozkoszować brzmieniem ich głosów, i po przybyciu samic ptaki powinny zamilknąć. A jednak słowiki czarują nas swym śpiewem aż do połowy czerwca. Potem następuje krótka przerwa, gdy przychodzą na świat młode i ptaki mają masę innych obowiązków. Potem znowu podejmują koncerty. Czyżby zatem ptaki śpiewały ot tak sobie, zupełnie bez powodu, czy też tkwi w tym jakaś przyczyna?

Teren zajęty!

Większość zwierząt właśnie wiosną łączy się w pary i wydaje na świat potomstwo. Dla wielu gatunków odbycie godów wiąże się z koniecznością posiadania własnego terytorium. Zdobycie go staje się jedną z najważniejszych życiowych spraw. Jest ono czymś w rodzaju własnej posiadłości, którą może być niewielki obszar ziemi, jakieś drzewo czy krzak lub choćby gałązka...

Wielkość poszczególnych posiadłości zależy od wymagań danego gatunku i waha się od zaledwie kilku centymetrów do przestrzeni paru kilometrów. Najczęściej w centralnym punkcie terytorium mieści się gniazdo lub nora, czyli po prostu dom właściciela i właśnie on jest (wraz z najbliższym otoczeniem) najzacieklej broniony przed rozmaitymi intruzami.

Należy oczywiście wyjaśnić, kto uważany jest za intruza, gdyż nie każde zwierzę przebywające na cudzym terenie musi być traktowane jako niemile widziany gość. Otóż zwierzęta bronią swoich posiadłości wyłącznie przed... przedstawicielami swojego gatunku. Samiec lisa toleruje na własnym terenie obecność borsuka, który mu zbytnio nie przeszkadza, czy myszy, stanowiących przecież podstawę jego wyżywienia. Za to ścigać będzie innego lisa samca! I nie uspokoi się, zanim intruz nie opuści granic jego obszaru. Trudno mu się nawet dziwić: borsuk czy wiewiórka prowadzą odmienny tryb życia, nie stanowią dla niego większej konkurencji ani zagrożenia.

Co innego pobratymiec – z pewnością będzie łowić tę samą zwierzynę, a więc „obżerać" prawowitego właściciela. Obcy rywalizować może też o względy tej samej lisiczki oraz prawdopodobnie spróbuje zająć najlepsze miejsce na norę. Trzeba go więc natychmiast przepędzić, gdzie pieprz rośnie. Podobnie postępują inne zwierzęta, a więc i ptaki. Dla samca zimorodka inny zimorodek jest groźnym rywalem, a nie jakiś przedstawiciel odmiennego gatunku ptaka.

Szczęśliwym właścicielem może być nie tylko jedno zwierzę, ale również para małżeńska oraz całe stado, jak to się dzieje u hien i małp. One również z wielkim zapałem bronią swojej własności przed intruzami należącymi do własnego gatunku.

Ale skąd zwierzęta wiedzą, gdzie przebiegają granice ich terytoriów? Otóż oznaczają swoją własność czym kto może: przy pomocy gestów, barw, zapachów i dźwięków. Sygnały te pełnią rolę ogłoszeń: „teren zajęty, wstęp surowo wzbroniony"! Oczywiście sposób, w jaki dane zwierzę wytycza ową granicę, jest typowy dla wszystkich przedstawicieli danego gatunku. Np. małe legwany z gatunku Anolis mają jaskrawo ubarwione podgardle, które potrafią nadymać jak balon. Dzięki

temu jaszczurka wygląda groźniej i nie ma wątpliwości, że ostrzega przed wtargnięciem na swoją gałązkę. Znaczy to mniej więcej to samo, jakby gad wołał: „tu mieszkam ja, legwan taki a taki, nie radzę podchodzić!" Wiele ryb koralowych znakuje terytorium własnymi, niezwykle pięknymi jaskrawymi barwami. Pływając raźno wzdłuż swego odcinka rafy koralowej rybka jest doskonale widoczna, a jej jaskrawe kolory sygnalizują, że ten teren ma już właściciela.

Ssaki najczęściej znakują terytoria przy pomocy zapachu. Psy, wilki, lisy podnoszą nogę, zostawiając swój „podpis" na okolicznych krzaczkach, drzewach i trawach. Moczem znakują swoje posiadłości lwy, a nosorożce kupkami nawozu oznaczają wydeptane wśród wysokich traw ścieżki i tunele. Niektóre zwierzęta (borsuki, kuny, dzikie króliki) mają specjalne gruczoły pozwalające na zostawienie pachnącego śladu.

Granice można wytyczyć również przy pomocy głosu. Np. lwy morskie pływają wzdłuż wybranego przez każdego z nich odcinka wybrzeża i ryczą wniebogłosy, by odstraszyć intruzów.

Wśród małych ptaków najczęściej spotykanym sposobem znakowania terytorium jest... śpiew! Świergoczą i czarują pięknymi głosami nie po to, by umilać komuś spacer po lesie. Ich piękne trele są przestrogą, którą inny samiec danego gatunku powinien wziąć sobie pod rozwagę, jeśli nie chce narazić się na nieprzyjemności. Zagorzałym obrońcą swego terytorium jest np. mały ptaszek – rudzik. Wyśpiewując swoją piosenkę zawiadamia (podobne znaczenie ma zresztą dobrze wszystkim znane pianie koguta), gdzie mieści się jego „posiadłość". I jednocześnie miota pod adresem ewentualnego rywala najstraszliwsze obelgi i groźby! Ptaki te prowadzą prawdziwe, śpiewane „pojedynki" popisując się, ile tylko mają siły.

Słowiki nie należą do tak zagorzałych samotników jak rudziki, a ich terytoria są znacznie mniejsze. Toteż na jednym obszarze żyje ich więcej w bliskim sąsiedztwie i one wyśpiewują konkurentom ostrzeżenia. Tak więc zarówno piękne piosenki, groźne ryki, woń, jak i jaskrawe barwy pełnią tę samą rolę: pozwalają trzymać na odległość przedstawiciela własnego gatunku.

Te same jednak sygnały mają odmienne znaczenie dla samca i samiczki. Dla potencjalnego rywala stanowią groźbę, ale dla samiczki stanowią uprzejme zaproszenie, ba, zachętę i obietnicę. Pozwalają również „damie" bez większego trudu odszukać zalotnika. Zatem zarówno ryki lwów morskich, jak cykanie świerszczy są formą wabienia partnera. Popisujący się ariami ptak wysyła pod adresem rywala poważne ostrzeżenia, ale jednocześnie zaprasza do siebie partnerkę. Jeżeli narzeczona zdecyduje się wkroczyć na czyjeś terytorium – będzie tam mile widziana. Chyba że ubiegła ją inna, sprytniejsza rywalka. Teren zajęty przez szczęśliwą parę jest równie zawzięcie broniony przed samcem, jak i przed inną samicą.

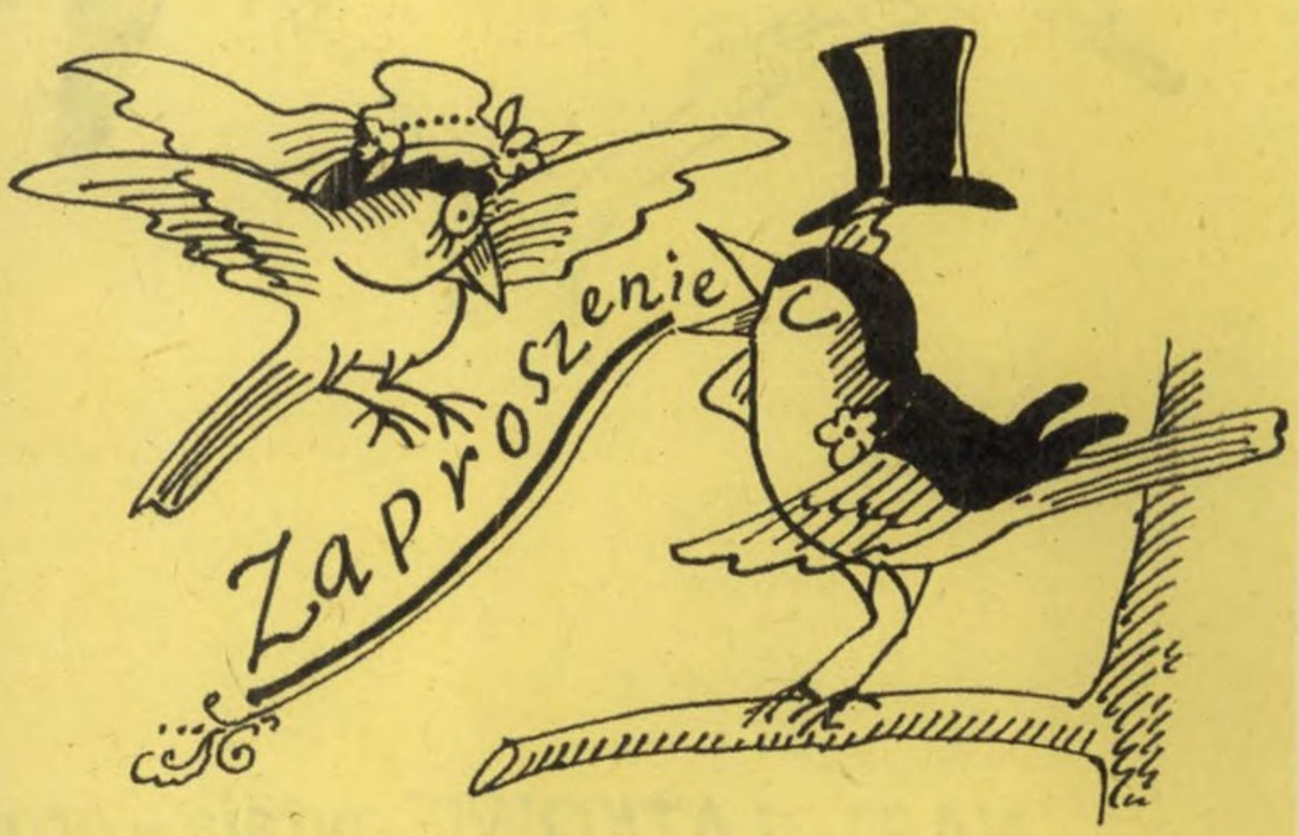

Kunszt śpiewaczy

Ptaki nie tylko śpiewają, ale wydają wiele różnych dźwięków o odmiennym znaczeniu. Głos wabiący słowika brzmi jak coś w rodzaju „wiid", do którego dołącza się grzechoczące „karr". Zirytowany śpiewak wykrzykuje gderliwe „rej", a dobry nastrój manifestuje przez dźwięczne „tak". Podobnie kos, poza melodyjnym śpiewem, wydaje jeszcze wiele innych dźwięków. Wieczorem, wyszukując sobie miejsce do spania, odzywa się „bitt bittbitt", czyli inaczej, niż gdy ostrzega przed niebezpieczeństwem grożącym z powietrza, które brzmi jak „sii, sii". Jeszcze inaczej objawia swe zaniepokojenie przed niebezpieczeństwem czającym się na ziemi („tiks, tiks").

Oczywiście nie sposób wymieniać wszystkich rodzajów dźwięków wydawanych przez różne ptaki, stanowi to wciąż przedmiot wielu badań. Głosy bowiem zwierząt kryją w sobie nadal wiele nie zbadanych tajemnic. Nie ulega natomiast wątpliwości, że rodzaj wydawanego przez zwierzę dźwięku odzwierciedla nastrój, w jakim się ono znajduje. Wystraszony słowik nie będzie słodko śpiewał, tylko, niejako mimowolnie, wyrwie mu się okrzyk strachu. Dźwięk ten jest właściwie interpretowany przez inne słowiki, które mają się od razu na baczności.

Nie wszystkie ptaki określane ogólnie mianem „śpiewających" poszczycić się mogą niezwykłym kunsztem wokalnym. Np. kopciuszek ze swym chrapliwym głosem nie dorównuje znanym wokalistom.

W utworach „wielkich śpiewaków" zawarte jest ogromne bogactwo dźwięków. W piosenkach słowików można rozroznic jakby wstęp, rozwinięcie, zakończenie oraz powtarzające się frazy i zwrotki. Tę niezwykłą umiejętność ptaki najczęściej

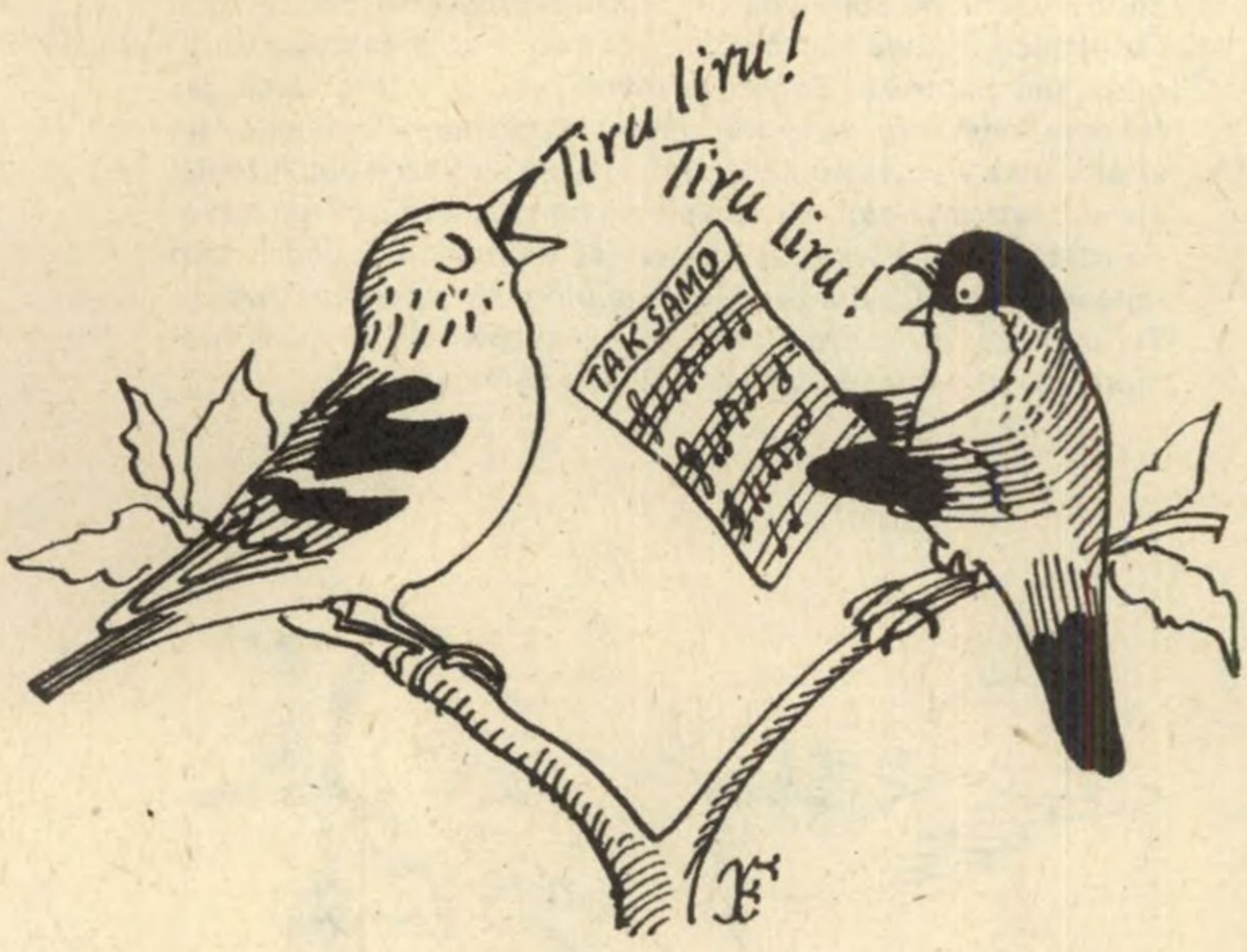

Ilustr. Jerzy Flisak

zdobywają już w ciągu pierwszych miesięcy życia, a następnie doskonalą się w swym kunszcie. Stwierdzono, że próbują śpiewać zarówno młode samce, jak i samice słowika. Lecz samiczki milkną, a samce ćwiczą uparcie naśladując śpiew ojca. Uczenie się przez naśladownictwo jest warunkiem koniecznym.

Młody ptak, który nigdy nie miałby okazji usłyszeć śpiewu dorosłych – nie rozwinie swego wokalnego kunsztu. Jego piosenki będą proste, pozbawione tej niezwykłej maestrii, z której słynie dany gatunek. Takie sytuacje zdarzają się w warunkach sztucznych, gdy pisklęta są odłączone od rodziców.

Wiele gatunków ptaków cechują duże zdolności naśladownicze. Stąd przebywające w niewoli młode ptaki uczą się piosenek innych ptaków, mieszkających w sąsiednich klatkach. Dlatego spotkać możecie np. gila, który odzywa się jak zięba.

Dzięki zdolnościom naśladowczym powstają też dialekty ptaków przebywających w warunkach naturalnych. Spokrewnione ze sobą ptaki, które z pokolenia na pokolenia przekazują sobie swoje umiejętności, śpiewają nieco inaczej niż zamieszkujący inne tereny przedstawiciele tego samego gatunku.

U przebywających na swobodzie ptaków możliwe są również pewne indywidualne różnice w śpiewie. Nie każda wilga czy kos gwiżdżą identycznie. Wokalista może przecież popisywać się inwencją, nieco inaczej łączyć zwrotki, dodawać do śpiewu nowe elementy. Są to jednak tylko niewielkie odstępstwa od tradycyjnych melodii odziedziczonych po przodkach.

ANNA PIECHOWSKA

NASTOLATKOWIE pytają – prof. Mikołaj Kozakiewicz odpowiada

Czy każdej dziewczynie, która nam się podoba, mówić „kocham cię"?

Są tacy chłopcy, którzy przy każdej, najbardziej błahej sprawie od razu przysięgają, tzn. klną się na Boga, na głowę swoją lub osoby bliskiej. Jeśli chcą powiedzieć, że będą się czymś zajmować przez czas dłuższy, mówią natychmiast, że będą to robić „wiecznie", a jeśli kogoś nie lubią, oświadczają zaraz, że go „nienawidzą". Jest to przesadny, afektowany sposób mówienia i nikt poważnie nie bierze ich słów (oni sami zresztą także). Tacy chłopcy przeżywając swoje przelotne miłości i sympatie też będą mówili, że „zakochani są nieprzytomnie", „po uszy", „na zawsze". Jeśli osoby, którym to mówią, wiedzą, że jest to tylko przesadny sposób wyrażania się, nie dzieje się nic złego. Gorzej, jeśli jakaś dziewczyna – która sama traktuje miłość poważnie i uważa, że słowa „kocham" nie należy rzucać na wiatr, że zobowiązuje ono do wielkiej odpowiedzialności i jest wstępem do spraw tak poważnych jak małżeństwo, macierzyństwo itd. – rzucane przez lekkoducha „kocham cię" potraktuje poważnie. Słowa te mogą w niej obudzić prawdziwe uczucie, które za miesiąc może zacząć ciążyć lekkomyślnemu chłopcu. Taka dziewczyna poczuje się wtedy oszukana.

Mężczyzna powinien zawsze dotrzymać słowa. Wyznanie „kocham cię", jeśli jest wzięte na serio, oznacza bardzo poważną obietnicę i zobowiązuje wobec kobiety. Dlatego też radziłbym wam nie szafować tym słowem. Nie każdy, kto nam się podoba, kto budzi sympatię, z kim chce się spacerować, chodzić do kina czy na prywatkę – jest obiektem naszej miłości.

Nie powodujcie dewaluowania się tego pięknego zwrotu, który od tysięcy lat ludzie powtarzają przy narodzinach swojego uczucia, a który mimo to za każdym razem ma i powinien mieć brzmienie świeże, nowe i niepowtarzalne.

Jeśli jakaś dziewczyna wzdraga się wam powiedzieć, że was kocha, wcale nie oznacza, że jej się nie podobacie, że was nie lubi, że nie czuje do was żadnej sympatii. Świadczy to tylko o tym, że traktuje miłość poważnie i będąc świadoma przelotnego i niedojrzałego charakteru uczuć budzących się w tym wieku, nie chce nadużywać tego zwrotu.

Powiedziałbym więcej – nie dążcie zbyt szybko do tego, by komuś powiedzieć „kocham cię" i usłyszeć to samo zapewnienie z drugiej strony. Wielu spośród nas uważa, że pierwsze zakochanie trzeba przejść możliwie szybko, tak samo, jak szczepienie ospy albo pierwsze golenie się, bo dopiero to są dowody, że przestaliście być dziećmi, a jesteście już dorośli. Prawdą jest tutaj tylko to, że miłość was nie minie. Nie należy jednak – powtarzam – niczego sztucznie przyspieszać, trzeba pozwolić by sprawy toczyły się ich naturalnym biegiem. Pierwszoklasista, który zacząłby nosić czapkę studenta politechniki i zachowywać się jak on, byłby śmieszny, a wcale nie dojrzalszy przez to. A gdyby zechciał posługiwać się tymi samymi maszynami i aparatami, którymi posługuje się student politechniki, naraziłby na pewno na niebezpieczeństwo siebie i skomplikowaną aparaturę.

Przechodzicie wstępne klasy w szkole uczuć, w szkole miłości i nie starajcie się przeskakiwać poszczególnych klas, bo inaczej oblejecie maturę.

UWAGA, uczestnicy UFO-sondy!
W jednym z najbliższych numerów przedstawimy najciekawsz
Agencji UFO dotyczące harcerstwa, które postawiliśmy w
zdjęcie, które też jest odpowiedzią na pytanie: dlaczego warto być harcerzem?

Fot. Włodzimierz Barchacz

– Jak się nowocześnie wyznaje miłość dziewczynie? Jak dać jej poznać, że ją kocham? – pytacie nieraz.

Z pytania tego można wnioskować, że waszym zdaniem istnieją nowoczesne i nienowoczesne sposoby wyjawiania swoich uczuć. Macie chyba rację w tym sensie, że każda epoka wytwarza pewien odrębny styl miłości i sposób jej przeżywania. Tak na przykład, dziewiętnastowieczny model miłości romantycznej, opisywany przez poetów, bardzo rzadko chyba pojawia się w erze energii atomowej i lotów kosmicznych, w erze równouprawnienia kobiety.

Widzieliście zapewne, oglądając sztuki z epoki romantycznej lub czytając wiersze czy powieści z tego okresu, ile przeszkód piętrzyło się na drodze zakochanych, ile trzeba było starań i ryzyka, aby dostarczyć ukochanej liścik, aby spotkać się choć na chwilę bez nadzoru dorosłych, jakie głębokie przeżycia wywoływało w młodym chłopcu przypadkowe dotknięcie jej dłoni, nie mówiąc już o objęciu dziewczyny podczas tańca. Jest to model miłości, rzadko spotykany w naszych czasach, bo czasy się zmieniły, znikły liczne bariery, które odgradzały chłopców i dziewczęta w XIX wieku, zmieniły się poglądy na to, co przystoi a co nie przystoi, co jest właściwą normą zachowania.

W tych romantycznych opisach miłości można jednak odnaleźć coś, co do dzisiaj pozostaje prawdą: miłość objawia się przede wszystkim w czynach, w postawie jednego człowieka wobec drugiego, a nie w słowach. Stałe pragnienie widzenia drugiej osoby i obcowania z nią, chęć świadczenia różnych przysług, sprawiania przyjemności, obdarowywanie drobnymi podarkami, zajmowanie wobec niej postawy dzielnego opiekuna, okazywanie swej sympatii nastrojem, tonem rozmowy, wyrazem twarzy, czułości, serdeczności, gotowość udzielania pomocy, współczucie w troskach – oto główne objawy miłości, które dziewczyna w lot odczyta i zrozumie dużo wcześniej nim coś będzie powiedziane na ten temat słowami.

Takie pośrednie „dawanie jej znać" jest bezpieczniejsze dla waszej dumy niż słowne deklaracje miłości, bo pozwala wam – jeśli nie wzbudzicie podobnych uczuć pod swoim adresem i spostrzeżecie, że pomimo waszych starań dziewczyna pozostaje wobec was obojętna lub wręcz odsuwa się niechętnie – dyskretnie się wycofać. Nie znajdziecie się dzięki temu w położeniu „dostającego kosza", w sytuacji, kiedy na słowa „kocham cię" słyszy się w odpowiedzi: „a ty jesteś mi obojętny".

Bardzo się mylą ci chłopcy, którzy uważają za nienowoczesne nie tylko przeżyte egzaltowane formy okazywania uczuć, lecz wszelkie w ogóle okazywanie uczuć, dla których czymś nienowoczesnym jest więc na przykład przyniesienie dziewczynie kwiatka lub czekolady, pomoc w niesieniu plecaka, stanięcie w jej obronie – słowem – rycerskość wobec dziewcząt. O swoich uczuciach dajemy znać swej wybranej szczególną serdecznością, przyjaźnią, troskliwością, lojalnością i oddaniem. Wtedy moment, w którym dojdą do głosu słowa, przyjdzie sam, w sposób naturalny i normalny. Wyznania słowne powinny pojawić się nie w momencie, gdy uczucia dopiero się budzą, lecz wtedy dopiero, kiedy obie strony są już pewne, że się kochają, a słowami tylko się o tym upewniają i umacniają wzajemnie w uczuciach.

Z książki „Gdy miłość dojrzewa" (Wyd. Alfa, 1984) złożonej z odpowiedzi prof. Mikołaja Kozakiewicza na pytania stawiane mu na spotkaniach autorskich.

Są to rozmowy Z CHŁOPCAMI. ale i DLA DZIEWCZĄT może to być interesująca lektura.

SŁYNNE MIASTA ŚWIATA

POLUBIŁAM JOKOHAMĘ

Jak z „Shoguna"... Takich zamków zbudowano w Japonii sporo, większość z nich powstała już po wojnie

WACHLARZ Z JOKOHAMY

Dawno temu, gdy byłam małą dziewczynką, przyjaciel mego ojca, marynarz, przywiózł mi z dalekiego rejsu wachlarz. Było na nim mnóstwo rzeczy do oglądania: różowe kwiaty wiśni, panie w barwnych kimonach, małe domki o kolorowych dachach i błękitna zatoka pocętkowana białymi żaglami. Z boku złociły się tajemnicze znaki, których nikt ze znajomych nie umiał odszyfrować, musiałam więc na słowo wierzyć ofiarodawcy, że to napisana po japońsku nazwa wielkiego portu zwącego się Jokohama. Bardzo mi się to słowo podobało: dziwne, egzotyczne, a jednocześnie łatwe do zapamiętania. Często je sobie powtarzałam, marząc, by kiedyś tam popłynąć i żałując, iż nie jestem chłopcem. Taki to ma szansę – zamustruje się na jakiś statek i może zobaczyć Japonię.

Mijały lata, mój japoński skarb gdzieś się zawieruszył, ale Jokohama uparcie tkwiła na dnie pamięci, a że życie płata różne niespodzianki, pewnego dnia... wylądowałam w tym mieście. Była to jednak podróż nie taka, jaką sobie kiedyś wyobrażałam. W najzwyklejszy sposób, tuż koło tokijskiego domu, w którym mieszkałam, wsiadłam do srebrnego elektrycznego pociągu i w ciągu pół godziny znalazłam się w krainie moich snów...

Choć pilnie wypatrywałam, kiedy skończy się Tokio, a zacznie to słynne portowe miasto, nie dostrzegłam dzielącej je granicy. Przez ponad czterdzieści kilometrów, do znudzenia, widok był taki sam: większe i mniejsze domy, węższe i szersze uliczki zatłoczone samochodami, srebrne zbiorniki i fabryki dymiące w niebo raz na biało, raz na czarno, to znów co najgorsze na żółto, bo wtedy przez okna wagonu wciskał się duszący odór.

Oglądając niedawno serial „Shogun" zastanawiałam się, gdzie realizatorzy znaleźli takie zielone gaje bambusowe, przez które wędrował orszak Anjina (Andżina) angielskiego marynarza, gdzie wyszukali takie szerokie piaszczyste plaże. W całej Zatoce Tokijskiej i w ogóle wszędzie gdzie się da przemyślni Japończycy sztukują swe wyspy zasypując morze gruzem, śmieciami, ziemią, zalewając betonem...

PIERWSZA WIZYTA

Tak więc na pierwszy rzut oka Jokohama i Tokio to już jedno miasto. Zaczęłam nawet żałować, że tam pojechałam, bo prysnął czar. Gdy przebrnęłam przez podziemne labirynty dworca i wielki plac zatłoczony autobusami, pomyślałam jednak, że może jeszcze da się coś uratować i pojechałam do starej nadmorskiej dzielnicy. Dobrze zrobiłam, bo spotkałam wycieczkę japońskich uczennic i poszłam jej tropem. Dzięki temu trafiłam na cudowną wystawę modeli starych żaglowców, później na spacerowo-handlowe molo wysunięte daleko w morze, a na koniec obejrzałam całą okolicę z platformy widokowej ponad 100-metrowej wieży.

U jej stóp – japoński park, pełen zabytkowych budowli, 500-letnia pagoda i rezydencja rodu wielkorządców, czyli „shogunów", Tokugawa, zbudowana w 1649 roku (w serialu założyciel tej dynastii nazywał się Toranaga). Jeszcze sto dwadzieścia lat temu Jokohama była małą rybacką wioską; dziś jest przeszło trzymilionowym miastem.

A co z telewizyjnym brodatym Anglikiem? Nazywał się William Adams i rzeczywiście przybył na statku miotanym strasznym wichrem w niedalekie stąd okolice. Po licznych przygodach, które przez dziesięć wieczorów pokazywała nasza telewizja, osiedlił się na pobliskim półwyspie Miura, ożenił z Japonką i miał dwoje dzieci, córkę Zuzannę i syna Józefa.

Zadzwoniła radośnie ze dwadzieścia razy, łomocząc w drzwi i jednocześnie czubkiem buta i pięścią.

– Cześć i czołem! – zawrzasnęła szczęśliwym głosem, widząc w progu pana Lewandowskiego. – Przyszłam znowu!!!

Pan Lewandowski wyglądał, jakby nie podzielał jej radości. Spojrzał na nią, stropiony, wreszcie w jego wzroku pojawił się błysk rozpoznania, ale nawet i wówczas minę miał jakąś nietęgą. – Cześć, Geniusia – powiedział wreszcie i uśmiechnął się pod wąsem. – No, chodź, dziecko, chodź.

Pomógł jej zdjąć kożuszek i zaprowadził do kuchni, gdzie jadano w dni powszednie. Pani Marta, opięta fartuchem w kwiatki, stała przy kuchence i mieszała w kapuście. Sławek siedział na taborecie przy nakrytym ceratą stole i naprawiał żelazko. Ci dwoje też byli dziwnie bez humoru, co Genowefa wyczuła od razu.

Posadzono ją, owszem, przy stole, ale jakoś nikt się nie cieszył z jej obecności. Prawdę mówiąc, Genowefa odnosiła wrażenie, że jej niemal nie dostrzegają.

– Co słychać? – spytała pana Franciszka, ten jednak nie odpowiedział. Spojrzał za to z troską na Sławka i – jakby kończąc zdanie – rzekł do niego:

– A ja ci mówiłem, uważaj.

– Co by to pomogło, tatuś – odparł Sławek nie podnosząc ciemnej głowy znad żelazka. Postukał metalowym narzędziem, pokręcił jakąś śrubkę i założył uchwyt.

– A co się stało? A co się stało? – Genowefa uczestniczyła w życiu rodziny.

Przez chwilę nikt jej nie odpowiadał, wreszcie pani Marta odwróciła się ciężko od pieca.

– Nic, nic – powiedziała. – Ty i tak tego nie zrozumiesz, Geniusia, Sławek ma kłopoty. No, chodźcie jeść.

Tu wszyscy spochmurnieli i wzdychając raz po raz zasiedli wokół stołu.

– A jakie Sławek ma kłopoty? – chciała wiedzieć Genowefa.

– W pracy, dziecko, w pracy. Ty i tak tego nie zrozumiesz – odpowiedziano jej.

Na rozstawionych talerzach czekał już makaron domowy, posypany siekaną pietruszką. Teraz pani Lewandowska podeszła z garnkiem i chochlą.

– Znów rosół.

– No, co ja poradzę, Sławuś, znów była tylko wołowina z kością – usprawiedliwiała się pani Marta. – Smażyłam te naleśniki, to już nie miałam czasu wymyślać zupy.

– Rosół mu się nie podoba – burknął pan Franciszek.

– Głodu, głodu wam potrzeba!

Zaczęli jeść. Z początku nikt nic nie mówił, nawet Genowefa (bo rosół fantastycznie jej smakował po dzisiejszym wietrznym spacerze), ale zaraz odezwał się pan Franciszek:

– Ty jednak, Sławek, rozejrzyj się za jakąś robotą. Na wszelki wypadek. Może idź do Ogorzałki, popytaj. On robi u prywaciarza.

– Pan Piotruś? – Genowefa przestała chlipać rosół. – Co robi pan Piotruś u prywaciarza?

Nikt jej nie odpowiedział, bo mówili o czym innym.

– Już wiem – odpowiedziała sama sobie. – Spławiki.

Kiedy zaś rodzina Lewandowskich umilkła na chwilę, Genowefa pospieszyła z informacją:

– Pan Piotruś ożeni się z Gabrysią. Czy ja też dostanę naleśnika?

Tym razem jej uwaga nie przeszła bez echa. Pani Marta spojrzała na dziewczynkę z bardzo kobiecym ożywieniem i spytała:

– Co ty powiesz? Piotr z Gabrysią?

– Ona jest bardzo miła, ta Gabrysia – rozgadała się Genowefa, rada że wszyscy jej słuchają. – Bardzo. Ta Ida to nie jest taka miła. Ta Ida to jest ta pani Ida, z którą pan Sławek w bramie...

– E!!! – krzyknął Sławek, czerwieniąc się gwałtownie.

– Co? Czy ja coś powiedziałam? – zdziwiła się Genowefa. – Jak nie chcesz, to ja nie wygadam. Ja tylko mówię, że byłoby fajnie, jakby pan Piotruś się ożenił z Gabrysią. Ja bardzo lubię śluby, bo jest dużo tortów. I wszyscy tak się cieszą. Czy ja też dostanę naleśnika?

– Na co? – zawiodła się Matylda. – O, niekoniecznie... Pocałuj mnie, Maćku – zażądała kapryśnie, przymykając znów oczy.

– Nie bądź głupi! – rozległ się nagle głos huczny jak wystrzał z garłacza, a donośny jak trąba.

Maciek omal nie podskoczył z przerażenia, w każdym zaś razie podskoczyła Matylda. Oboje skierowali paniczny wzrok w stronę, skąd dobiegał ów głos stentorowy – i ujrzeli oczywiście w nie domkniętych drzwiach wejściowych rozkoszną Genowefę Trombke vel Bombke, wspartą o futrynę, zachowującą pełny luz i jak zwykle silnie usmarkaną.

– Ale śmiesznie wyglądacie – stwierdziła z satysfakcją, popatrując na blade i stężałe z przestrachu ich twarze. – Oj nie mogę, oj umrę ze śmiechu.

– O, cholera! – wrzasnął raptem Maciek, odpychając Matyldę na bok i ruszając z zaciśniętymi pięściami w stronę strasznego dziecka. – O, cholera jasna psiakrew! To ona! To znowu ona!!!

– Tak, to ja – nie ulękła się go Genowefa Bombke vel Trombke. – Ale co wy tu robicie, hę?

Maciek i Matylda milczeli, nie wiedząc zapewne, jak by tu sprecyzować cel i przebieg wizyty.

– Dlaczego właściwie tu jesteście, jak pana Piotrusia nie ma? – pytała dalej Genowefa tonem dobrotliwym na pozór, lecz w istocie pełnym różnorodnych a niewysłowionych podejrzeń. – Czy pan Piotruś dał ci ten klucz, czy sam go ukradłeś?– z tym jakże bezpośrednim pytaniem zwróciła się do Macieja, który odkąd wszedł w progi domu, nie miał jeszcze czasu, by pozbyć się klucza Yeti, kurczowo zaciskanego w prawicy.

Maciej Ogorzałka nie wiedział, czemu wrzasnął. Ale wrzasnął.

– To moje mieszkanie! – wrzasnął. – To mój brat!– wrzasnął. – To mój klucz!

– A wcale że nie – przygwoździła go Genowefa. – Pan Piotruś tu mieszka! – Pan Piotruś mój! Sam mi mówił, że jest kawalerem, a kawaler nie może mieć brata!

– Może!!! – wrzasnął Maciej Ogorzałka.

– Nie może – uparła się Genowefa, wysuwając brodę. – Bo żeby mieć dziecko, trzeba mieć żonę.

Maciek aż się jąkał ze zdenerwowania.

– Nie-nie-nie trzeba! To jest – ja nie jestem dzie-dziec-kiem! Ja tu mieszkam!!! – wrzasnął.

– A wcale że nie! – przyłapała go triumfalnie Genowefa. – Jakbyś tu mieszkał, to byś normalnie wszedł do mieszkania. A ty stoisz w skafandrze w korytarzu z Matyldą i boisz się wejść. Co, może Matylda też tu mieszka? A widzisz. He-he-he... Idźcie sobie lepiej, to nie wasz dom.

Matyldzie nagle wróciła mowa.

– Maciek!!! Co to znaczy?! – krzyknęła dosyć przeraźliwie.

– Nie krzycz! – krzyknął Maciek. – Ja naprawdę tu mieszkam!

– Jesteś pewien? – spytała ironicznie Matylda. Maciek spojrzał na nią z niechęcią.

– Tak! – wrzasnął.

Wmieszała się Genowefa.

– Ja wam mówię, lepiej idźcie do domu – poradziła im życzliwie. – Wróci pan Piotruś i jeszcze milicję wezwie albo to drugie – zakaszlała soczyście.

– No proszę – wzburzyła się Matylda. – Ja stąd idę, z pewnością, już, w tej chwili. Swoją drogą, ciekawa rzecz, Maćku. Gdzie się nie ruszysz, wszędzie lezą za tobą jakieś brudne bachory. Do widzenia. Nie mam już ochoty na herbatkę! – To rzekłszy, zawinęła poły kożuszka i, rzuciwszy dumnie złotą głową, opuściła mieszkanie Ogorzałków.

Trzasnęły drzwi i zapadła straszna cisza.

Rozwścieczony Maciek zastanawiał się, czy wziąć teraz za kark Genowefę Bombke i jak kota wyrzucić za drzwi, czy też przycisnąć ją wreszcie – korzystając z faktu, że ma ją pod ręką – i dowiedzieć się, za co smarkata tak go prześladuje.

Póki co wszakże musiał wysłuchać pięknej kaskady jej kontrapunktowego kaszlu. Kiedy skończyła się krztusić i rzęzić, zdjęła swój kożuszek i zipiąc ciężko, wręczyła Maciejowi. Ten machinalnie powiesił go na haczyku, co Genowefa przyjęła z uznaniem.

– No, dobrze, rozbierz się też – zezwoliła łaskawie. – Będę robić zupę ziemniaczaną Florida, możesz mi pomagać. Nawet dobrze, że ukra... że pożyczyłeś ten klucz. Przynajmniej sobie weszłam. Trzy razy tu dziś dzwoniłam, a pana Piotrusia nie ma i nie ma.

Przeszła swobodnie do kuchni, wykrzykując w stronę Maćka, że doskonale pamięta, gdzie pan Piotruś trzyma swoje zupki. Wlazła na stołek, zapaliła światło, po czym bez wahania otworzyła szufladę kredensu.

– O, widzisz? – ucieszyła się. – Tu są. O, a tu – spławiki. Pan Piotruś je wycina z korka i przytwierdza do ryby, żeby ją złowić. Zapal gaz, dobra? Bo ja się boję.

Krzątała się po kuchni, nucąc z zadowoleniem. Maciek zupełnie nie umiał rozmawiać z dziećmi, a do tego Genowefa była szczególnym zgoła egzemplarzem tego gatunku ludzkiego. Prawdę mówiąc, peszyła go trochę. Usiadł, choć początkowo zamierzał stać – i milczał, choć początkowo chciał krzyczeć. W bezmyślnym osłupieniu patrząc na zapracowaną Genowefę, począł teraz przetrawiać wydarzenia z ubiegłego kwadransa.

– Te, mała – rzekł po pewnym czasie, bo coś mu się przypomniało. – Dlaczego tam, w korytarzu, powiedziałaś: – „Nie bądź głupi"?

– Żebyś nie był – wyjaśniła mu zatrzymując się w pół ruchu i wlepiając w niego okrągłe oczęta. – Musiałeś ją całować! Jejku! A ona jest taka drewniana!

Maciek żachnął się, otworzył usta, chciał protestować – ale nie wiadomo czemu milczał. Genowefa cmoknęła, pokręciła głową i powróciła do przerwanej czynności (mieszania zupy w proszku z niewielką ilością zimnej wody), a on siedział na kuchennym stołku, oparty plecami o olejno malowaną ścianę, i myślał. Zastanawiał się, czy przed pół godziną uwierzyłby, że będzie całować Matyldę. I że zaraz potem pozwoli bez żalu, by odeszła. I że zupełnie nie będzie miał ochoty jej odprowadzić.

– Aurelia też musi – przemówiła nagle Genowefa, impetycznie mieszając w garnuszku.

– He? – ocknął się Maciej. – Jaka znów Aurelia?

– Jedwabińska.

– Co musi?– skrzywił się Maciek ze zniecierpliwieniem.

– Całować. Mama jej każe: pocałuj mnie! – zupełnie jak ta Matylda tobie kazała.

– Matylda nic mi nie kazała!– uniósł się Maciek strasznym gniewem.

Dziewczynka spojrzała na niego płochliwie, z ukosa, i dezaprobująco zakręciła łyżką w garnuszku.

– Hi, sama słyszałam – wymamrotała niby to do siebie.

– Figę tam słyszałaś? Figę rozumiesz! Sam ją całowałem! Sam! Sam tego chciałem!

– Taaa?– zdumiała się Genowefa, nieruchomiejąc. – A dlaczego?

Maciek też zamarł i spojrzał na nią z zastanowieniem.

– Cholera, no – mruknął. – Wstał, zajrzał do kredensu, wyjął chleb i nóż. Jakoś nagle do niego dotarło, że jest nieludzko głodny.

Genowefa obserwowała go z politowaniem.

Starając się ją zignorować, Maciek wpakował w usta pół kromki chleba i żując go, otworzył lodówkę. Tu na górnej półce ujrzał wyschniętą już z lekka, zbrązowiałą i nieapetyczną cytrynę.

Na ten widok zalała go nagła krew.

– Co się gapisz? – wyładował się na Bogu ducha winnej Genowefie, przełknął chleb i oczy wyszły mu na wierzch. Rzucił nóż na stół, i znowu huknął: – Skąd ci przyszło do głowy, że Matylda mnie wodzi za nos?

Wystraszona Genowefa, która jako żywo nie imputowała mu niczego podobnego, milczała z otwartymi ustami, gapiąc się na Maćka. W jej nosie lśniły dwie świeczki, a w oczach – zdumienie.

– Zapamiętaj sobie – rzekł srogo on, wygrażając jej palcem. – Macieja Ogorzałki nikt nie będzie wodził za nos. Jasne? Matylda też. – Tu urwał, doznał kolejnego olśnienia i dorzucił:

– Chociaż ma na to bardzo wielką ochotę.

– To chyba znaczy, że najważniejszy jest człowiek, tak? – odgadła wreszcie nieśmiało.

– Tak jest, no mniej więcej tak – zgodziła się pobłażliwie Ewa.

– Człowiek nigdy nie powinien być traktowany instrumentalnie. W wychowaniu także. Dziecko ma też godność, proszę pani, i to trzeba umieć uszanować, tak jak jego swoisty charakter, upodobania i osobliwości.

– Ksiądz proboszcz mówi to samo – zgodziła się pani Lelujkowa. – A ja też tak uważam, pani profesor. Jacka wychowuję, jak umiem, ale godności mu nie poniewieram, co to, to nie.

– A jak z autorytetem? Ma pani u niego autorytet?

– Proszę?... Nawet nie wiem. Ja jestem niewykształcona, pani profesor, ja umiem tylko kochać te moje dzieci i kocham je szczerze, a jakby trzeba było, to ja za nie życie oddam.

Ewa zaśmiała się lekko.

– No, nikt tego od pani nie wymaga. Chciałam powiedzieć tylko, że Erich Fromm...

– Kto?...

– Mniejsza z tym... wyróżnia dwie postawy: „mieć autorytet" i „być autorytetem". Pani rozumie tę różnicę, prawda?

– Nie za bardzo.

– Człowiek, proszę pani, który jest autorytetem, jest nim w sposób naturalny i wcale nie musi starać się o to. Każdy go szanuje.

– To całkiem jak profesor Dmuchawiec – ucieszyła się pani Lelujkowa.

Ewa zesztywniała.

– Pani zna profesora Dmuchawca?

– Pewnie, najstarsza córka robiła u niego maturę trzy lata temu. Złoty człowiek, naprawdę. Ile on nam pomógł... Tak, jego to naprawdę wszyscy szanują, chociaż on się wcale nie wysila.

Ewa z trzaskiem zamknęła swój notes.

– Jest taki prosty i zwyczajny – rozczulała się nadal Lelujkowa. – Chociaż taki uczony.

Ewa wstała. Była niejasno poirytowana.

– Pójdę już – oznajmiła, chowając notes i przechodząc do przedpokoju.

Pani Lelujkowa pospieszyła za nią.

– Pani profesor, niech się pani nie gniewa na Jacusia. To jest naprawdę dobre dziecko. Ja z nim porozmawiam i on się na pewno poprawi!

„Ach, te matki – pomyślała z lekkim zniecierpliwieniem Ewa Jedwabińska. – Zaślepione zupełnie, zakochane w tych swoich synalkach. Z tą już nic nie da się uzgodnić. Jacek jest dobre dziecko. Założyła już, że to ja się mylę w ocenie".

– Do widzenia pani – powiedziała sucho, naciągając rękawiczki.

– Do widzenia! – zawołała za nią Lelujkowa, wychylając się jeszcze na korytarz. – Ja bardzo przepraszam za Jacka, ja mu powiem...

Oczywiście, gadanie dla pozoru. Nic mu nie powie. Ewa pomyślała, że w gruncie rzeczy nie omyliło jej przeczucie. Rozmowa z Lelujkową zakończyła się jej, Ewy, porażką. Trzeba było po prostu tam nie chodzić.

4.

Było około piętnastej, kiedy Genowefa znalazła się pod drzwiami Lewandowskich. Zamierzała pierwotnie udać się do kochanej Kreski, ale nie zastawszy nikogo w domu, odeszła spod jej drzwi z postanowieniem, że wróci tu po obiedzie u Borejków. Jednak i tam nie było nikogo, za drzwi zatknięta była jakaś karteczka i zasmucona Genowefa skierowała się do sutereny.

W całym korytarzyku pachniało rosołem, a tuż przed drzwiami Lewandowskich dołączył się do tego zapachu aromat kapusty i naleśników. Wszystkie te smakowite wonie stanowiły dla Genowefy konkretną jedność, oznaczającą, że dom ten żyje i czeka.

poprawiając fryzurę i makijaż. Rozpięła płaszcz, ułożyła równo rogi apaszki, raz jeszcze sprawdziła w lusterku, jak wygląda – i poczuła, że ma właściwie ochotę wracać do domu. Czuła, że rozmowa z rodzicami Lelujki będzie niewypałem. Czuła, że wszystko to udać się nie może. I wolałaby doprawdy oszczędzić sobie zdenerwowania.

Gdyby winda była wolna, pewnie by Ewa uciekła. Ale jak na złość, jedna właśnie zjechała w dół, a druga była w drodze na górę. W dodatku jakieś drzwi w długim korytarzu otwarły się z trzaskiem i pijany brudas z workiem wytoczył się w kierunku zsypu. Ewa pomyślała, że to może być ojciec Lelujki i zrobiło się jej mdło; ale szybko się opanowała, poszła w głąb korytarza i odszukała mieszkanie 108. Z ulgą stwierdziła, że to jednak nie pan Lelujka czka koło zsypu, drzwi mieszkania 108 były bowiem zamknięte, w przeciwieństwie do mieszkania 105, z którego ciemnej głębi waliła woń nie do opisania.

Pani Lelujkowa otworzyła drzwi i też nie wyglądała na żonę alkoholika. Była czyściutką, skromną, niczym się nie wyróżniającą kobietą o spracowanych rękach i nieśmiałym uśmiechu. Na wieść o tym, że Ewa jest wychowawczynią Jacka, pani Lelujkowa przejawiła pewien niepokój. Ale umiarkowany.

– Proszę, proszę wejść – zaprosiła Ewę do skromnego, nudnego pokoju z tanią meblościanką i zasłonką z drukowanego lnu. Spiesznie i wstydliwie uprzątnęła z taniego fotela jakieś zabawki czy klocki. – Pani usiądzie, kochana, bardzo proszę.

Ewa zdjęła płaszcz, który pani Lelujkowa skwapliwie powiesiła w ściennej szafie w przedpokoju. Usiadły obie. Pani Lelujkowa, zaplatając nerwowo zgrubiałe palce, zapytała, czy Jacuś może coś zmalował.

– Zależy, co pani przez to rozumie – odrzekła sztywno Ewa. – Ale nie ukrywam, że przyszłam tu, no... na skargę. Leluj... to jest, Jacek jest bardzo niesubordynowany. Przypuszczam, że popełniacie państwo jakiś podstawowy błąd wychowawczy – oświadczyła i rozsiadła się nieco wygodniej (fotel był twardy i bolały ją plecy) kontynuując: – Wiem, że macie państwo jeszcze kilkoro dzieci...

– Jeszcze troje – wtrąciła pani Lelujkowa, obracając w palcach róg płóciennego fartucha.

– Być może więc zawinił brak czasu... bo wina za jego zachowanie leży, wydaje mi się, po państwa stronie. Być może, ma za mało dyscypliny...

– O, nie – żywo zaprzeczyła pani Lelujkowa. – Dyscypliną to dostawał dość często, aż mi go było żal. Mąż mu dawał lanie za każdą dwójkę... Ale teraz uczy się lepiej, prawda?

– W zasadzie tak. Hm. A więc kary cielesne... Może więc presja była zbyt silna – myślała głośno pani Jedwabińska. – Zasadniczym moim zarzutem jest to, że Jacek błaznuje na lekcjach, odmawia wykonywania moich poleceń, ośmiesza mnie przed klasą – zdenerwowała się, wyszczególniając te przewiny Lelujki, bo nagle zdała sobie sprawę, że jej zarzuty są trochę żałosne. – Jest jakiś zbuntowany, tak, zbun–to–wa–ny, i przez cały czas zastanawiam się, kto to sprawił. Przecież nie ja – bo gdyby wina leżała po mojej stronie, zbuntowałaby się cała klasa, prawda? A tymczasem mam tylko dwoje takich buntowników: Jacka i tę jego nieodłączną Janinę.

– On ma dziewczynę? – ucieszyła się i stropiła jednocześnie pani Lelujkowa. – Nic nie wiedziałam. Muszę mu powiedzieć, żeby ją do nas zaprosił...

– Nie w tym rzecz – przerwała jej Ewa Jedwabińska. – Chcę państwa przestrzec, że stosujecie niewłaściwe metody wychowawcze. Bunt i ucieczka są zawsze rezultatami wzmożonej presji. Nie można narzucać dziecku niczego siłą, przez przymus. Bo choćby pani robiła to dla dobra dziecka – takie łamanie osobowości, taka przemoc musi wywoływać bunt i odrzucenie posłuszeństwa. Może przeczytam pani zdanie Immanuela Kanta z „Uzasadnienia metafizyki moralności" – Ewa sięgnęła po swój piękny notes i odczytała swym starannym głosem wypisaną uprzednio myśl: – „Postępuj zawsze tak, byś człowieczeństwa tak w twej osobie, jako też w osobie każdego innego używał zawsze zarazem jako celu, nigdy jako środka". Pani rozumie? – spytała, widząc lekkie oszołomienie na twarzy swej rozmówczyni.

Pani Lelujkowa namyślała się dłuższą chwilę.

Piątek, 18 lutego

1.

Pani Jedwabińskiej nie było dziś w szkole.

Na zastępstwo przyszedł młody i wesoły praktykant – student matematyki. Miał wąsa jak elektryk i bujną czuprynę, a do tego ładne szare oczy. Wszystkie dziewczyny z I b gapiły się na niego pozorując zainteresowanie nauką, lecz on przez bitą godzinę opowiadał kawały o aktualnym wydźwięku. Co do matematyki, nie napomykał o niej przesadnie często. Zadał tylko do domu parę potężnych ćwiczeń i uspokoiwszy w ten sposób sumienie, dołożył jeszcze kawał o ślepym i kulawym.

Na temat pani Jedwabińskiej powiedział też niewiele: ma dziś ważne zajęcia w Zakładzie Psychologii, przyjdzie na pewno w poniedziałek.

Kreska spodziewała się, że będą z Lelujką wzywani do dyrekcji, że coś ich w każdym razie czeka niemiłego – a tu nic, cisza. I w dodatku pani Jedwabińska w Zakładzie Psychologii. „Oby więcej tych tam zajęć" – pomyślała. Już dawno nie czuła się tak beztrosko i wspaniale na lekcji matematyki. Zresztą, cała klasa, zdawało się, odczuwała to samo: wszyscy byli dzisiaj wyjątkowo weseli i odprężeni, roześmiane grupki wychodzące po lekcjach na korytarz nie rozproszyły się, jak to dotychczas bywało, po całym piętrze. Przeciwnie, wszyscy ciągle stali razem, pod drzwiami klasy. Pokrzykiwali, przegadywali jeden drugiego i prześcigali się w mnożeniu dowcipów. Kreska, która wyszła razem z Lelujką prawie na ostatku, spojrzała na niego porozumiewawczo.

– Popatrz, co za fajna klasa – powiedziała.

Jak pomóc własnej głowie?

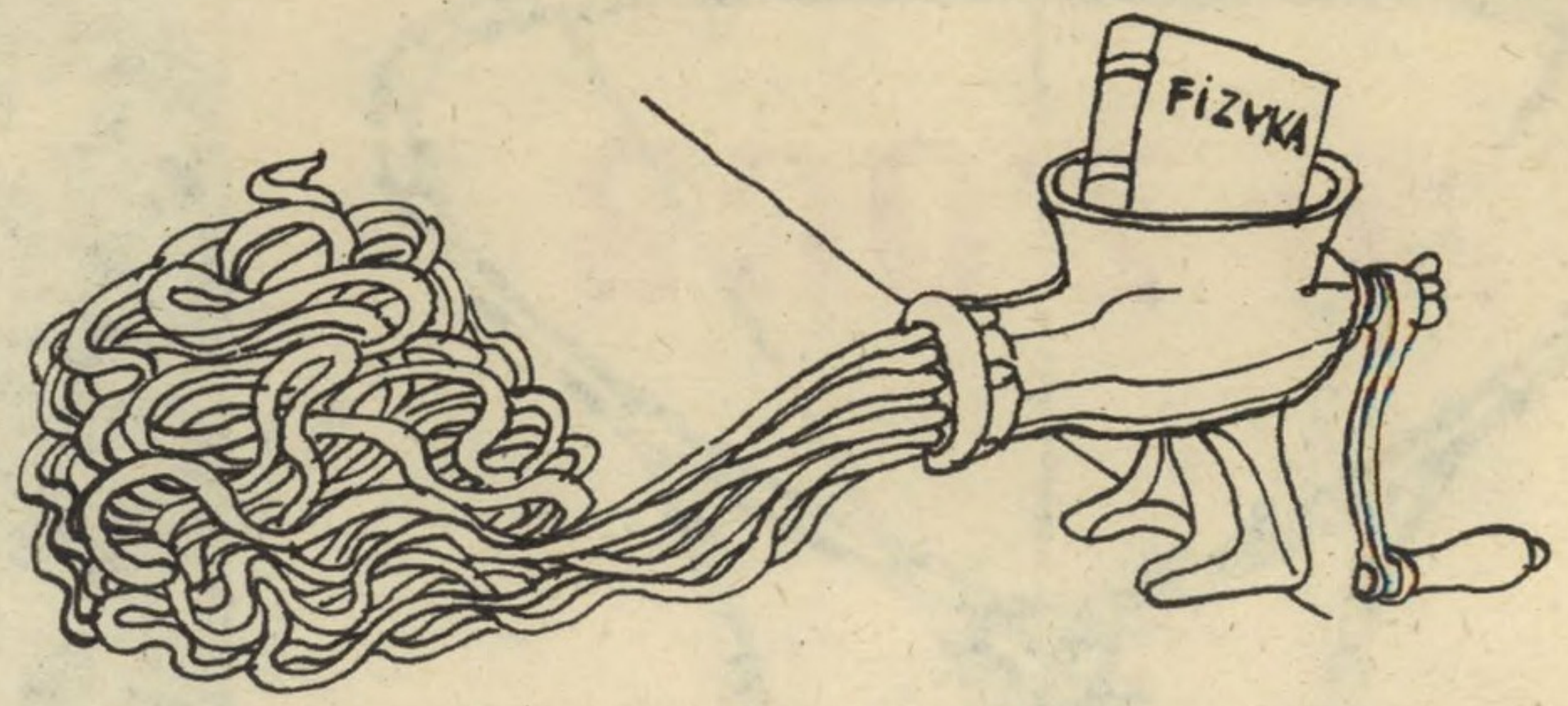

Egzaminy... egzaminy...

Najbardziej doświadczeni w zdawaniu egzaminów są studenci. Pewien psycholog przeprowadził badania ankietowe dotyczące egzaminacyjnej loterii. Zadał kilkuset studentom pytania: „Co wpływa na rezultat uzyskany na egzaminie?". Na podstawie otrzymanych odpowiedzi ułożył listę najczęściej wymienianych przyczyn. Im częściej któraś z nich była ukazywana, tym wyższe miejsce uzyskała na liście:

1. Dobre przygotowanie zdającego.
2. Udzielanie spokojnych, dobrze przemyślanych odpowiedzi.
3. Odporność zdającego na zdenerwowanie.
4. Szczęście.
5. Używanie w odpowiedziach fachowych, „mądrych" zwrotów, obcych terminów.
6. Podawanie podczas odpowiedzi drobnych szczegółów, których nie ma w podręcznikach lub o których nie było mowy na wykładzie.
7. Dobry humor egzaminatora.
8. Wygląd zewnętrzny zdającego.
9. Znajomości...
10. Umiejętność wzbudzenia współczucia u egzaminatorów w przypadku niepowodzenia.

A więc w egzaminacyjnej ankiecie na pierwszym miejscu znalazła się solidna praca!

Edison, wielki wynalazca, powtarzał zawsze swoim współpracownikom: *„Nigdy nie osiągnąłem nic wartościowego przez przypadek i żaden z moich wynalazków nie zawdzięcza swego powstania przypadkowi. Nie wierzę w nic, co by miało być tylko namiastką pracy".*

Jan Parandowski w „Alchemii słowa" pisze, że tacy francuscy twórcy jak Hugo, Baudelaire, Flaubert *„...zasiadali do pracy z punktualnością urzędników. A gdyby wymienić wszystkich, którzy mieli ten sam zwyczaj, w takim rejestrze znalazłaby się większość sławnych nazwisk".*

– Czy warto kłaść książkę pod poduszkę? Tak, warto, ale pod warunkiem, że przed snem ją przeczytasz! Sen doskonale utrwala zapamiętany materiał.

– Powtarzając, rób sobie małe notatki, ale naprawdę bardzo skondensowane. Zajrzysz do nich w ostatnim tygodniu przed egzaminem, kiedy będzie za późno na przeglądanie całego podręcznika lub zeszytów, i to z kilku lat!

– Pamiętaj o małych przerwach w pracy. Jeżeli uczysz się bardzo szybko, możesz sobie zafundować częstsze przerwy, jeśli wolno – to po dłuższym okresie powtarzania. Oderwij oczy od książki po godzinie intensywnej nauki – pobaw się przez 10 minut z psem, otwórz okno i zrób kilka głębokich wdechów, posłuchaj ulubionej płyty. Ale raczej nie dzwoń do Zosi czy Jurka i nie pytaj „jak ci się uczy", bo 10-minutowa przerwa może niepostrzeżenie zamienić się w godzinną!

*

Bać się czy nie przed egzaminem? Bać, ale umiarkowanie. Mała niepewność jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła, a umiarkowany niepokój mobilizuje do większego wysiłku. Zbyt duży strach działa jednak dezorganizująco. Jeżeli jutro zdajesz egzamin i nie możesz opanować nerwów, przeczytaj sobie lub powtórz coś, co dobrze znasz i rozumiesz. To cię uspokoi i doda wiary we własne siły.

Jeśli nie chcesz przeżyć „paraliżu intelektualnego", „uczucia kompletnej pustki w głowie" czy „zaćmienia umysłu" to w przeddzień egzaminu:

– Nie kuj do białego rana! Co najmniej na 12 godzin przed egzaminem musisz przerwać naukę i zapewnić organizmowi spokojny, ośmiogodzinny sen. To nie jest rada dobrej cioci, która już pozdawała wszystkie egzaminy w życiu i nie musi się denerwować, ale naprawdę konieczny warunek.

– Jeśli spędzisz całą noc czy nawet tylko pół nocy w silnym napięciu i z bardzo skoncentrowaną uwagą, to następnego dnia, czyli na egzaminie, poczujesz z pewnością przejmującą pustkę w głowie. Twój organizm sam obroni się przed nadmiernym przeciążeniem i zareaguje ociężałością, ospa-

„Rzetelnik jestem" – mówił Reymont – więc sobie wydzielam na każdy dzień robotę i póty nie wychodzę, póki jej nie skończę".

– Ależ tak postępują wielcy twórcy! – może ktoś zawołać – przede mną tylko zwykły szkolny egzamin! Ale – odpowiadamy – do tego zwykłego egzaminu należy się przyłożyć równie solidnie jak do pisania noweli. W końcu jest to nasz pierwszy wielki sprawdzian wiedzy, inteligencji, umiejętności.

*

Jak można zorganizować sobie powtarzanie materiału? Przede wszystkim zrób rzetelny rachunek sumienia: to umiem dobrze, to słabo, tego nigdy się nie nauczyłem. Z gramatyki jestem wyjątkowo zapóźniony – 5 dni nauki. Poetów romantycznych lubię i pamiętam ich utwory – wystarczy jeden dzień. Gorzej z pozytywistami – 4 dni. Dokonawszy przeglądu swojej wiedzy i niewiedzy robimy dokładny plan powtórek.

Uwaga! Obowiązuje generalna zasada: nie powtarzamy wszystkiego po kolei, bo na pewno zabraknie nam czasu! W dodatku okaże się, że Kochanowskiego znamy już doskonale, ale za to literatura współczesna jest dla nas ciągle niejasną mgławicą. Na egzaminie mogą nas właśnie zapytać o Iwaszkiewicza!

Skoro znamy już swoje słabe punkty, układamy plan powtórek. I zachowujemy się jak Reymont: Dopóty nie wychodzimy z domu, dopóki nie wykonamy naszego dziennego planu.

Układając plan, staraj się wprowadzać małe przerywniki. Jeśli powtarzasz okres Sejmu Czteroletniego, to włącz do programu również kilka zadań z matematyki. Powtarzając matematykę, rób małe przerwy na literaturę. Między zadaniami z geometrii dobrze czyta się wiersze. Takie chwile oddechu dobrze zrobią twojej pamięci i poprawią samopoczucie. Dobrze rozwiązane zadanie może dodać wiary tym, którzy słabiej czują się na literackim polu.

O czym jeszcze należy wiedzieć powtarzając materiał przed egzaminem?

– Aby dobrze zapamiętać, lepiej jest przeczytać tekst dwa, trzy razy, niż odtwarzać go z pamięci po pierwszym przeczytaniu. Aby nie utrwalać błędów, powtarzając, zerkaj do książki – czy dobrze pamiętasz datę, tytuł, nazwisko.

– Pamiętaj – nie powtarzaj tekstu, którego nie rozumiesz. Mniej stracisz czasu idąc do Jasia, który świetnie rozumie geometrię, niż gdy będziesz usiłować nauczyć się na pamięć nic nie rozumiejąc.

– Jeśli te tematy będą zbyt trudne, to twój mózg, pozbawiony odpoczynku, odmówi posłuszeństwa.

– Pamiętaj, że człowiek zmęczony robi najczęściej wrażenie nie tylko słabo przygotowanego, ale i... mało rozgarniętego!

– Zaśnij myśląc o lesistych wzgórzach. Otwórz na noc okno. Dotleń swój mózg, a obudzisz się w dobrej formie.

Gdy się obudzisz, najlepiej godzinę wcześniej, aby uniknąć nerwowej bieganiny i popłochu, nie chwytaj już za książkę, nie wertuj notatek. Sprawdź, czy masz wszystkie potrzebne pomoce naukowe, zaopatrz się w kilka orzeźwiających cukierków i chusteczkę do nosa.

– Zjedz lekkie śniadanie. Jeśli masz zdawać za godzinę, nie przeciążaj żołądka zbyt ciężkimi potrawami. Przy zbyt pełnym żołądku krew przemieszcza się do krążenia trzewnego, żeby strawić to, co pochłonąłeś! Do trawienia potrzebny jest dopływ krwi i tlenu. Tego samego potrzeba twojemu mózgowi. Jeśli najesz się zbytnio, wówczas głowa przegra konkurencję z żołądkiem. Nie możesz jednak pójść na czczo. Wysiłek umysłowy to proces energochłonny, musisz zadbać o kalorie.

Jeśli udało Ci się wstać o godzinę wcześniej i nie marudziłeś w łazience, to przejdź chociaż część drogi piechotą. Dotleń się!

Przed drzwiami sali egzaminacyjnej raczej unikaj koleżanek i kolegów, którzy popisują się swoją wiedzą. To frustruje. Rozmawiaj z tymi, którzy zachowują się spokojnie.

Z powodu nerwów niejeden uczeń wypadł dużo gorzej niż powinien. Zastosuj więc pewną sztuczkę. Zajrzyj do swoich notatek i zajmij się oczywiście tym problemem, co do którego masz pewność, że dość dobrze znasz. Przed drzwiami nie ma czasu na naukę. Jeśli otworzysz książkę na stronach, których zupełnie nie pamiętasz, to zdenerwujesz się jeszcze bardziej. Powtórzenie czegoś znanego doda ci odwagi, ponadto będzie to dobra rozgrzewka dla pamięci, która za chwilę będzie musiała pracować na pełnych obrotach.

UDANEGO EGZAMINU życzy

JOANNA MŁYNARCZYK

Ilustr. Antoni Chodorowski

Mr Z'OOB

Fot. Przemysław Wierzchowski

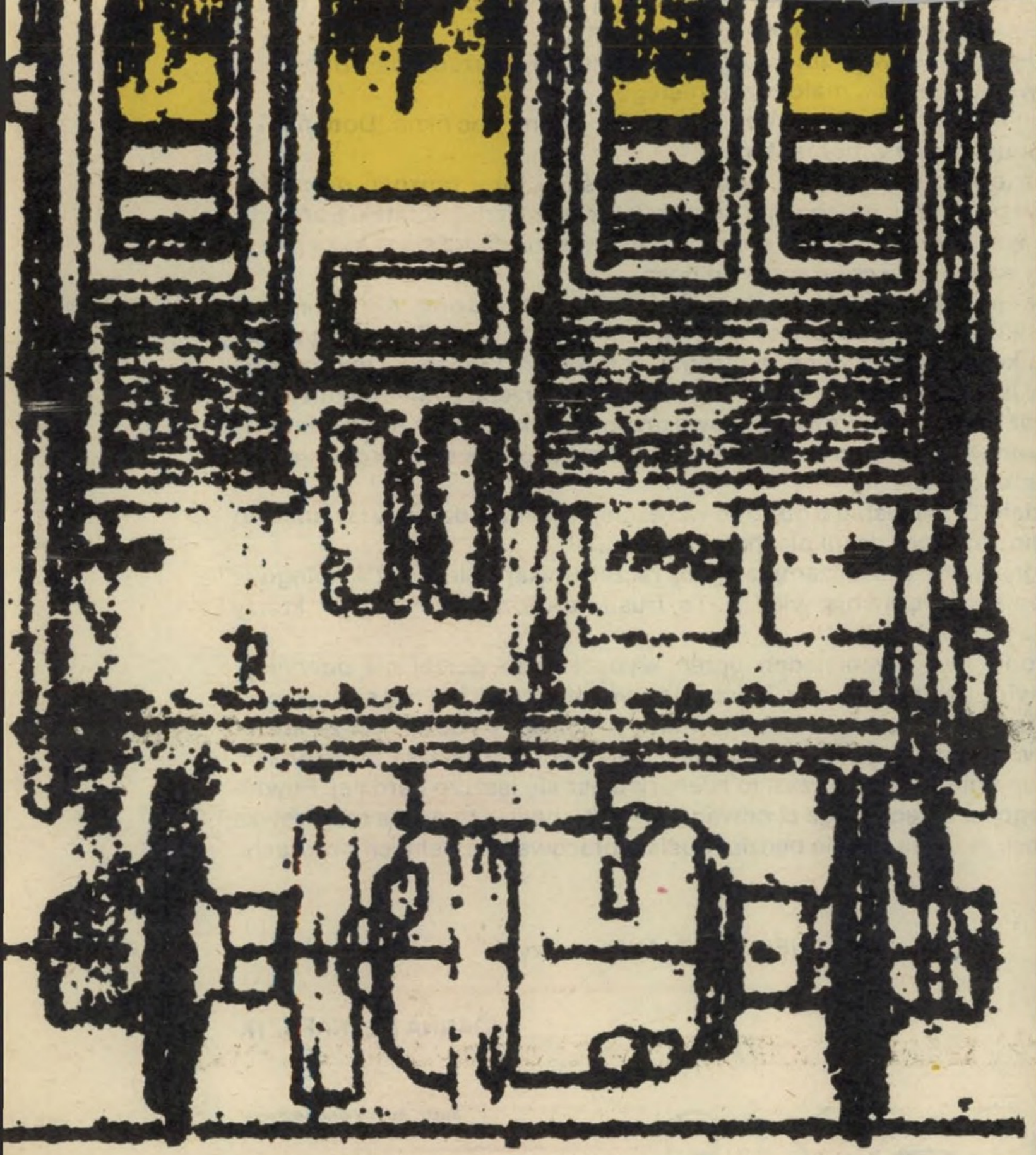

Nie gniewaj się Waldek
ten tramwaj jest naprawdę twój
a reszta moja

Z piosenki „Kartka dla Waldka"

PŁOMYK 9

Lelujka uniósł jedną grubą brew i uśmiechnął się zgorzkniale. – Tacy fajni bylibyśmy, gdyby nie ona. Gdyby nie Ewcia Sopel – rzekł ze smakiem i sam się zachwycił swym dowcipem: – Ty, ale trafiłem z przezwiskiem! No powiedz, czy nie świetne?

Kreska najpierw parsknęła śmiechem, potem spoważniała, bo coś się jej przypomniało. Jeżeli obiecała dziadkowi, że będzie się starała zrozumieć wychowawczynię, to należałoby właściwie zacząć już, od zaraz. Zgodnie z tym powiedziała: – Czy nie moglibyśmy być tacy właśnie... fajni, że tak powiem... no, mimo niej. Tak – sami z siebie. Słuchaj, Lelujka...

– Jacek.

– Jacek. Przecież to chyba od nas samych zależy, nie od niej.

– Nie zgodzę się z tobą – rzekł Lelujka, drapiąc się w głowę, a następnie wyjmując z kieszeni spodni nieduże ciepławe jabłko i dzieląc je na pół. – Masz, zjedz. Robaczywe, ale dobre. Bez nawozów sztucznych. Z naszej działki.

– E – hm, dziękuję. Rozumiesz, Jacek, ja chcę powiedzieć, że może zbyt często lubimy wszystko zwalać na jakąś, no, siłę wyższą, która nam uniemożliwia to czy owo... podczas gdy wiele rzeczy, a już na pewno to, jacy jesteśmy – zależy głównie od nas samych.

– Absolutnie się z tobą nie zgadzam w tym przypadku – rzekł Lelujka, chrupiąc jabłko jak koń. – Mniam, mniam! Pojedz, mówię ci, że pyszne. Koksa.

– E... em, tak, już oczywiście, już jem. Dlaczego się ze mną nie zgadzasz?

– Od Ewci Sopel, uważam, zależy rzecz bardzo ważna: atmosfera w klasie – powiedział Lelujka i wypluł pestkę.

Kreska kiwnęła głową i z uporem ciągnęła swoje.

– Dobra, dobra, ale taka atmosfera jak dziś nie jest czymś normalnym w szkole. Facet przyszedł, opowiedział parę kawałów. Nie pytał – tylko nam się podlizywał. Zresztą, może sam się dobrze bawił. Co za sztuka zrobić taką atmosferę. Niczego nas nie uczył, niczego od nas nie wymagał – toteż wszyscy się naraz zrobili sympatyczni i odprężeni.

– Kreska. Po pierwsze, czemu nie jesz mojego jabłka. Po drugie, wszyscy nie dlatego się porobili sympatyczni, że mogli sobie dziś popróżnować, tylko dlatego, że coś odtajało. Bo od Ewci Sopel to aż mrozem dmucha. – Ok – urcze. Ja jej nie cierpię. Ma duszę policjantki.

– Ufff. Nie jest łatwo jej bronić.

– No powiedz mi, że nie mam racji! – wzburzył się Lelujka.

– Mniam, mniam – odparła Kreska. – Bardzo smaczne jabłuszko.

2.

Po szkole znowu wracali razem. Wicher hulał po pustym placu przed hotelem „Merkury", marszcząc kałuże w drobną łuseczkę o kolorze grafitu. Zziębnięty Lelujka dobył tym razem jabłko z kieszeni skafandra i uszczęśliwił Kreskę następną połówką. – Ok-urcze, to jest bez robala! – ucieszył się szczerze po dokonaniu wstępnych oględzin. Chuchnął na jabłko i przetarł je rękawem. – Masz, Janka. Jedz. Jedz. Blado wyglądasz, na pewno brak ci żelaza. A w jabłkach żelaza jest jak naplute.

Kreska z wysiłkiem przełknęła ślinę i przyjęła podwiędły owoc. Lelujka patrzał czujnie, czy zje – więc ugryzła.

Pyszne – wyrzekła zdławionym głosem, żując powoli.

– Widzisz! – ucieszył się serdecznie Lelujka. – Nic się nie martw, będę ci te jabłka co dzień przynosić. My ich mamy całą skrzynkę.

– O, nie, ależ doprawdy – przelękła się Kreska.

Lelujka przerwał jej z królewskim gestem szczodrobliwości.

Jedz, na zdrowie. Już ja dopilnuję, żebyś co dzień zjadła jedno. Zaraz dostaniesz rumieńców.

– Ale... – spróbowała raz jeszcze ona.

– Żaden kłopot. Słowo – kategorycznie uciął Lelujka.

– Jabłka są z działki. Bo my mamy działkę, wiesz? Sam zasiliłem jabłonie mieszanką naturalną. Od razu lepiej owocują. Kreska żuła z przygnębieniem.

– To ojciec posadził te jabłonie – powiedział Lelujka i spoważniał. Westchnął, zatrzymał się, po czym troskliwym gestem owinął szyję Kreski końcem fruwającego szala.

Nim zdążyła zareagować, już zareagował kto inny.

– No, no, co ja widzę – odezwał się za nimi głos z lekka żartobliwy i Kreska struchlała, rozpoznając po głębokich uderzeniach własnego serca, że to się odezwał Maciek Ogorzałka.

W istocie, był to on.

Odziany w przykusy skafander koloru granatowego, z czerwonymi rękami, czerwonym nosem i takimiż uszami wystającymi spod sypkiej czupryny o barwie pszenicy, stał za plecami Kreski i czekał, aż tramwaj numer siedem przetoczy się z piskiem po zakręcie jezdni.

Ani Kreska, ani Lelujka nie odpowiedzieli, każde ze swoich powodów.

Maciek też przez chwilę nie mówił, a potem z nagłym ożywieniem rzekł:

– Hm, Kreska, co z tą twoją matmą?

Kreska w milczeniu wzruszyła ramionami.

– Prosiłem, żebyś przyszła, to pomogę – z wyrzutem powiedział Maciek. – Wpadnij choćby dziś, będę w domu od obiadu.

Kreska milczała.

– Wpadniesz? – spytał szybko Maciek i zerknął na Lelujkę. – Hm. No, dobra. To ja lecę. Hm. Kreska, na przykład o piątej, co?

Nie czekając odpowiedzi, wdarł się na jezdnię między żuka a syrenę i przedostał się na róg Dąbrowskiego. Jeszcze przez chwilę widać było w szarym powietrzu jego złocistą czuprynę, powiewającą na wietrze. Potem wtopił się Maciek w szary tłum, drobiący ku przystankowi dziewiątki. I znikł w perspektywie ulicy Roosevelta.

Lelujka milczał dyskretnie. Milczała i Kreska, stojąc wciąż w tym samym miejscu i czując jak zimny wiatr przenika ją na wylot. Ale czuła też, że gdzieś koło serca pulsuje w niej jakby ciepłe światełko. Tak czasem w atramentowej czerni nocy błyska na torach daleki sygnał i on jeden przypomina, że nie zawsze przecież będzie ciemno i pusto; być może już wkrótce przeleci wspaniały wielki ekspres, do którego będzie można wskoczyć, pojechać daleko i zmienić całe swoje życie.

– Pójdziesz? – spytał sztywno Lelujka, patrząc w ziemię. – Bo jak by nie, to ja też bym ci mógł pomóc w matmie. Nie jestem taki znowu kiepski, jak myśli Ewcia Sopel.

Spojrzał pytająco na Kreskę, lecz ona milczała, pogrążona we własnych myślach.

Lelujce zrobiło się jakoś smutno. Klepnął Kreskę po ramieniu, powiedział „cześć" – i odszedł, nie doczekawszy się od niej nawet spojrzenia.

3.

Tymczasem pani Jedwabińska właśnie dochodziła do drzwi jego domu. Zajęcia w Zakładzie Psychologii udało się jej przełożyć i wolne popołudnie postanowiła przeznaczyć na rozmowę z rodzicami Lelujki. Było po trzeciej, kiedy zrobiła zakupy i zajrzawszy do notesu, sprawdziła raz jeszcze adres Lelujki: mieszkał w sąsiednim bloku, na jej osiedlu. Dziwne, że go dotychczas tam nie spotkała.

Nie chciało się jej wstępować do domu, zwłaszcza że po drodze spotkała panią Lisiecką, opiekunkę Aurelii. Dowiedziała się, że jej dziecko nie zjadło obiadu, tłumacząc się brakiem apetytu i pobiegło ze skakanką na placyk zabaw. Ewa powierzyła torbę z zakupami pani Lisieckiej, umówiła się, że wpadnie do niej potem – i weszła do bloku Lelujki.

Wjechała windą na dziesiąte piętro, przystanęła pod oknem i zajrzała do lusterka, starannie

Profesor Melanowicz z Uniwersytetu Warszawskiego opowiada, że Japończycy bardzo cenili tego cudzoziemca jako wspaniałego specjalistę: był doświadczonym nawigatorem i sternikiem, przebył drogę z Europy do Japonii, miał dużą wiedzę matematyczną i geograficzną, umiał budować nowoczesne statki, o których w Japonii nic jeszcze wtedy nie wiedziano. Głupotą więc byłoby wypuszczenie takiego skarbu z rąk. Czy zatrzymano cudzoziemca siłą? Chyba nie, bo pływał później na zbudowanych pod swym nadzorem żaglowcach, miał więc okazję próbować ucieczki do ojczystej Anglii. Widać jednak zasmakował w Japonii i może wreszcie nauczył się nieco lepiej języka. Co prawda film nie dawał na to nadziei, bo choć miano całą wieś spalić, w której go ulokowano, edukacja szła mu bardzo opornie.

Faktem jest, że nauka japońskiego wymaga kilka razy większego wysiłku i czasu niż jakiegokolwiek europejskiego języka. Przekonało się o tym wielu Polaków przebywających m. in. właśnie w Jokohamie, gdzie budowano dla nas kilka statków.

Japończycy natomiast okazali się pojętnymi uczniami, jeśli chodzi o nowe modele statków; nie tylko szybko dorównali cudzoziemskim mistrzom, ale ich prześcignęli. Oglądali, podglądali, uczyli się pilnie wszystkiego dostosowując do swoich warunków i potrzeb. I mają ten nawyk od maleńkości. Gdy patrzę na gromady naszych dzieci zwiedzających jakąś fabrykę, wydaje się, że są tym znudzone. Idą noga za nogą, nie słuchają, co mówi przewodnik. Japońskie szkolne wycieczki są natomiast wręcz zafascynowane każdym oglądanym obiektem. Uważnie śledzą pracę maszyn, obserwują pilnie czynności robotników, wciąż o coś pytają, często robią notatki. Po prostu chłoną wiedzę, szukają okazji, by ją pogłębiać.

W czasie mego pobytu w Japonii wielokrotnie mi się zdarzało, że na ulicy, w pociągu czy w parku podchodziła do mnie grupka uczniów (częściej uczennic) zadając mi pytanie, jakim językiem mówię i czy mogę z nimi trochę porozmawiać po angielsku. Przezwyciężając swą nieśmiałość wobec „gaijinki" (cudzoziemki) chciały wykorzystać szansę dodatkowej konwersacji i szlifować znajomość języka, obowiązkowego w szkole.

Ten pęd do nauki przynosi już pewne efekty: gdy rok temu znów byłam w Tokio, stwierdziłam, że młode pokolenie Japończyków daje już sobie coraz lepiej radę z angielskim. Widziałem też zabawnego elektronicznego „tłumacza". Pytanie zadawane po japońsku mini-komputer z miejsca przekładał na angielski. Rozmówca mógł to odczytać na maleńkim monitorze. Oczywiście taka wymiana zdań może dotyczyć tylko spraw podstawowych. Na początek dobre i to.

Ponieważ w Jokohamie bywa wielu cudzoziemców, nigdy nie miałam tam kło-

Chrzciny zbiornikowca „Zawrat", wykonanego dla nas w jokohamskiej stoczni; burta statku udekorowana według japońskiego ceremoniału

Zbiornikowiec „Zawrat" w całej okazałości (293 m długości, 48 m szerokości, 145 680 DWT)

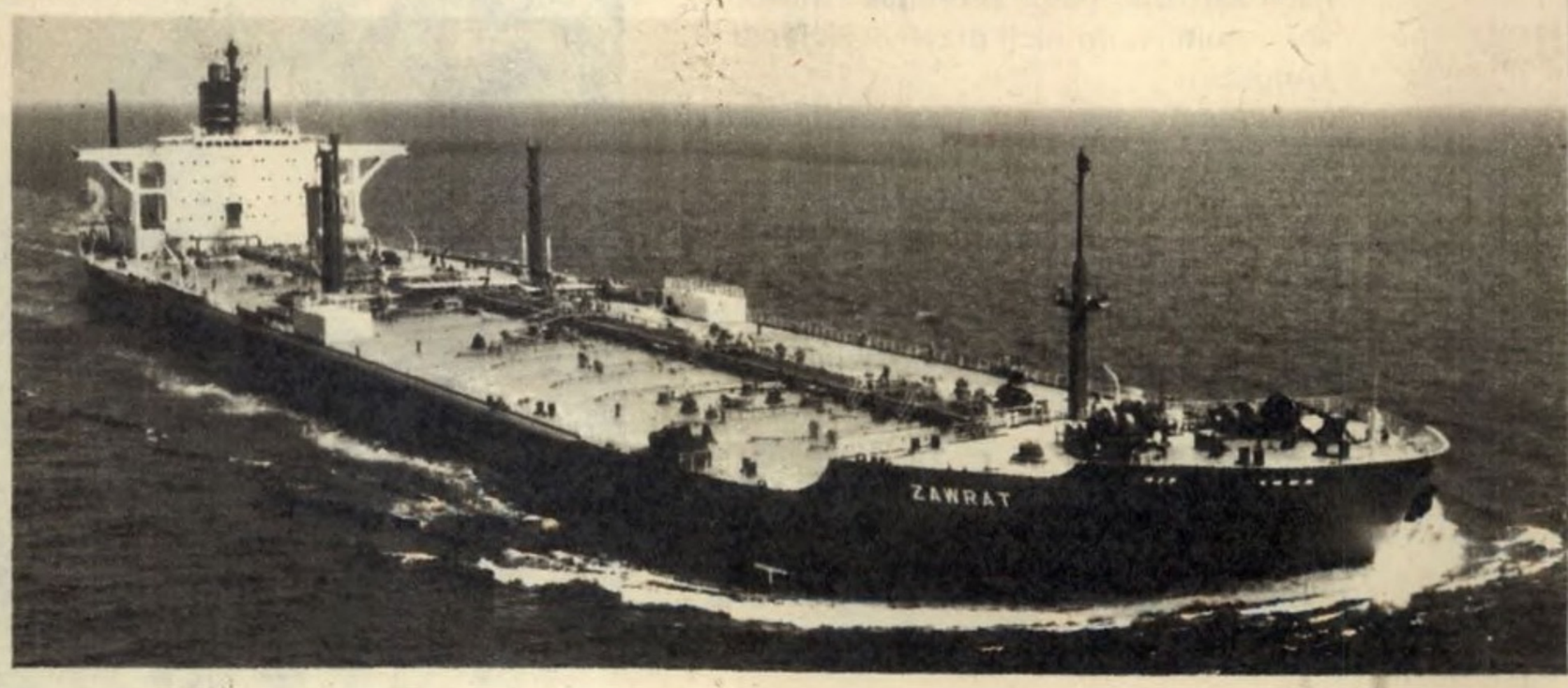

potu z porozumieniem się, nawet wtedy, gdy spotkała mnie... przykra przygoda zawiniona przez moje roztrzepanie. Właśnie gdy pojechałam tam po raz pierwszy „tropem wachlarza", pod wieczór zdałam sobie sprawę, że wydałam wszystkie drobne, a nie wzięłam portfela... Znajdowałam się daleko na obrzeżach miasta, wiele kilometrów od dworca. Stanęłam na przystanku autobusowym medytując, co robić. W Japonii nie jeździ się na gapę i jeśli nawet ktoś nie zna systemu kupowania czy przecinania biletu, a w każdym mieście jest on inny, usłużni współpasażerowie zaraz pomagają. Piechotą nie doszłabym do nocy, a o 24-tej przestaje kursować mój pociąg. A zresztą jak nim pojadę bez jena przy duszy?

Gdy tak rozmyślałam nad swą niewesołą sytuacją, zatrzymała się koło mnie „toyota", z której wysiadło dwóch panów. Zapytali, czy nie chcę, przypadkiem jechać na stację... W Polsce zaraz bym pomyślała, że szukają „łebka", ale o czymś takim nigdy tutaj nie słyszałam. O „podrywaniu" też nie mogło być mowy zważywszy na moje lata... Ochoczo więc wsiadłam do auta i wyjaśniłam, że nie mam przy sobie pieniędzy, więc spadli mi jak z nieba, a jeśli będą kiedyś w Tokio, w rewanżu zaproszę ich na kawę. Oto numer mego telefonu. Ubawiło ich najwyraźniej moje opowiadanie i uparli się, że odprowadzą mnie na właściwy peron. Nawet nie spostrzegłam, kiedy jeden z nich kupił po drodze bilet, i wręczył mi go na pożegnanie. Mój pierwszy wypad do Jokohamy wspominałam więc bardzo miło. Później jeździłam tam wielokrotnie w sprawach służbowych i turystycznie, zawsze znajdując coś ciekawego do obejrzenia.

DO JAPONII – PO NAUKĘ

Ludzie przybywający w zamierzchłych czasach do Japonii z Europy często uważali mieszkańców Nipponu za barbarzyńców, zaś Japończycy takim samym mianem określali cudzoziemców, nie pojmując ich sposobu zachowania i toku myślenia. Kto miał rację? Oczywiście ani jedni, ani drudzy, bo to, że jakiś naród jest inny, wcale nie znaczy, że gorszy.

Pierwsi odkryli Japonię portugalscy kupcy, którzy przywieźli na swych galeonach zarówno palną broń, jak i misjonarzy, jezuitów. Po nich przybyli Holendrzy i Anglicy.

„Shogun" Ieyasu Tokugawa (filmowy pan Toranaga) dojrzał jednak w tej inwazji różne niebezpieczeństwa i zarządził, by więcej nie wpuszczać do Krainy Wschodzącego Słońca cudzoziemców, wyrażając zgodę tylko na to, by jedynie niewielka grupka osiedliła się na maleńkiej wysepce Deijima koło Nagasaki.

Oglądałam resztki murów otaczających ongiś tę europejską kolonię, dzięki której do Japonii napływały nowinki z dalekiego świata, dotyczące zarówno postępów w technice, jak i w różnych naukach, m. in. w medycynie. Pozwalano obcokrajowcom bogacić się, dorabiać, ale żyli w izolacji, aby nie mieszać Japończykom w głowach.

Dopiero w 1853 roku, gdy amerykański komandor Perry wpłynął do Zatoki Tokijskiej na czele eskadry wojennych okrętów, o czarnych groźnych sylwetkach, przypominających smoki, Japonia wyraziła zgodę na otwarcie swych portów dla statków zachodnich podpisując układy pokojowe najpierw ze Stanami Zjednoczonymi, później z Anglią, Rosją i Francją.

Pewnego dnia wybrałam się w Jokohamie za miasto na wysokie wznoszące się nad zatoką wzgórze Jamate, by zwiedzić międzynarodowy cmentarz. Założono go 130 lat temu, gdy zmarł marynarz z amerykańskiego statku „Missisipi" wchodzącego w skład słynnej flotylli „czarnych okrętów". Od tej pory pochowano tam około 4 tys. cudzoziemców, z których wielu pomagało Japończykom unowocześniać ich kraj. To właśnie cudzoziemcy zainstalowali pierwsze gazowe latarnie i nadzorowali budowę pierwszej linii kolejowej, łączącej Tokio z Jokohamą.

W setną rocznicę uruchomienia pierwszego pociągu, czyli w 1972 roku, przypomniano zabawną historię. Otóż jakaś bardzo wielka figura, chyba sam cesarz, uczestniczyła w tym wiekopomnym wydarzeniu. Ów honorowy gość wsiadając do wagonu, tak jak przy wejściu do domu, zdjął obuwie, które, gdy pociąg ruszył, zostało na peronie. Tłum odprowadzających zamarł z niepokoju... Czym się to skończyło, nie pamiętam, ale daje pojęcie, jak trudno było Japończykom, po przeszło 250 latach izolowania się od świata, dogonić postęp, nie tylko pod względem techniki, ale i obyczajów.

A gonili ów świat na wszystkie sposoby, m. in. upowszechniając oświatę – już w 1870 roku wprowadzono zasadę 6-letniego powszechnego nauczania!

Japońskie pociągi należą do najnowocześniejszych i najszybszych na świecie

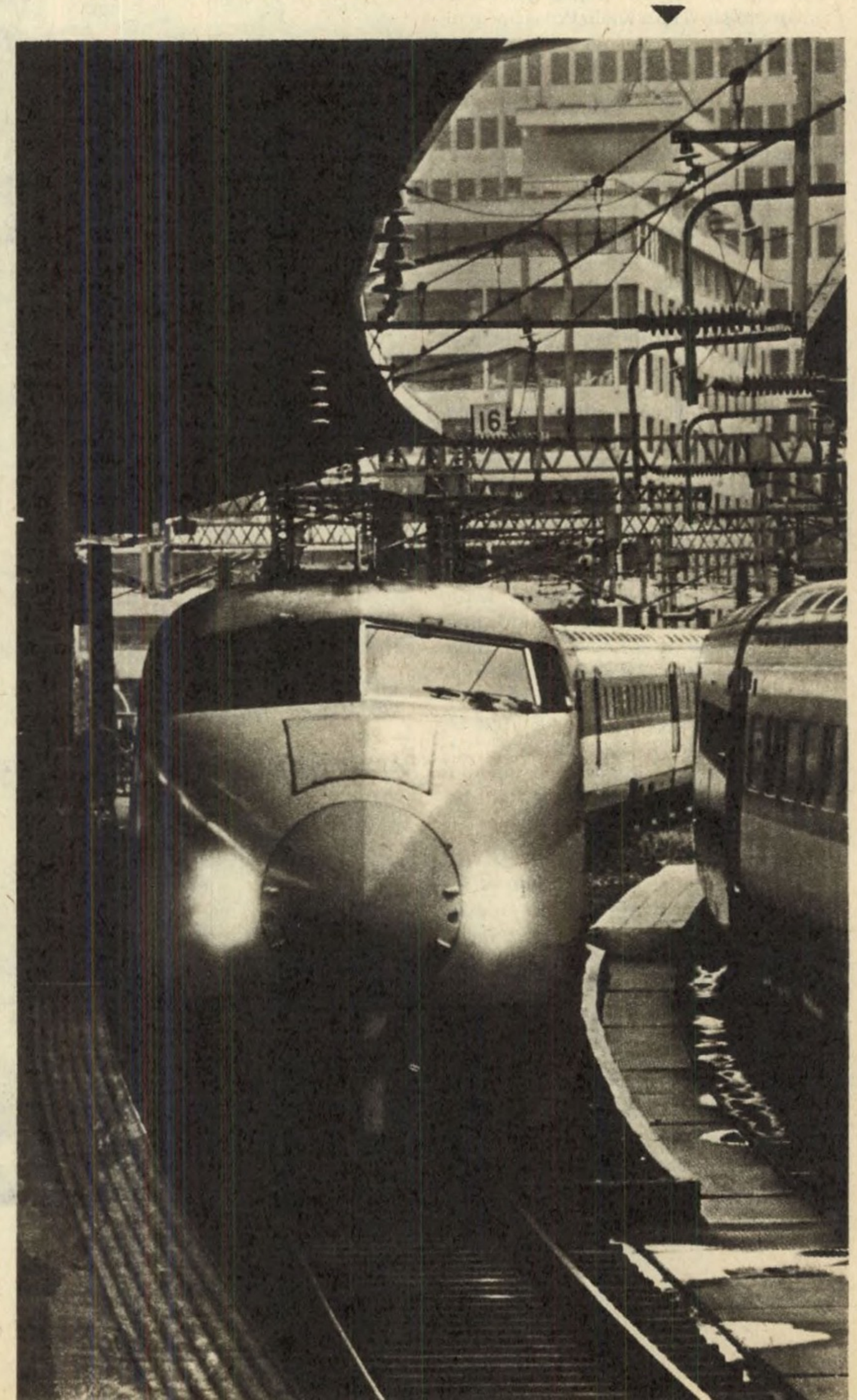

Warto pamiętać o dziejach tego kraju choćby po to, żeby zdać sobie sprawę, jak szybko, bo w ciągu jednego stulecia, naród pracowity, zdyscyplinowany, solidarny może przeskoczyć całą epokę, doścignąć i nawet prześcignąć pod wieloma względami kraje, które sądziły, jak choćby Ameryka, że będą we wszystkich sprawach wyrocznią.

Dziś do Japonii wędrują z całego świata tabuny specjalistów, ekonomistów, dyrektorów różnych przedsiębiorstw, naukowców, techników – nie po to, żeby, jak to było niegdyś, uczyć Japończyków, ale aby od nich pobierać nauki, jak produkować towary najwyższej jakości, supernowoczesne, pod każdym względem gwarantowane, jak organizować pracę.

GIMNASTYKA W STOCZNI

Pewnego dnia odwiedziłam w Jokohamie stocznię firmy Mitsubishi, gdzie rodziły się nasze zbiornikowce z „górskiej" serii: „Zawrat", „Sokolica", „Czantoria". Pierwsze wrażenie to spokój, brak pośpiechu i idealny porządek. Choć robotnicy dobrze widzieli, że po ich królestwie kręcą się jakieś obce osoby, sprawiali wrażenie, jakby nas nie dostrzegali. Każdy wpatrzony w swój odcinek pracy, nawet nie odwróci głowy w stronę przybyszy. Ani pogaduszek, ani papierosów. Dzień zaczyna się, jak na wakacyjnym obozie, od gimnastyki. Potem wszyscy ubrani w jednakowe białe hełmy i niebieskie kombinezony ustawiają się w czworoboki wokół brygadzistów, którzy wygłaszają coś, co brzmi jak groźna reprymenda, a jest po prostu szczegółową instrukcją, co kto ma tego dnia robić. Omalże w wojskowym ordynku grupy rozchodzą się na swe stanowiska i rozpoczynają pracę z sekundową punktualnością. Również z taką samą punktualnością zaczyna się i kończy przerwa obiadowa oraz druga porcja gimnastyki. Choć ci ludzie są ciągle w ruchu, gimnastyka potrzebna jest dla relaksu, tak samo jak gra w piłkę, gdy po posiłku jest jeszcze trochę czasu na odpoczynek.

Zbiornikowce to bardzo wysokie statki. Zastanawiałam się, jak będzie wyglądać moje wspinanie na pokład, ale nie było to potrzebne – wjechaliśmy na górę transporterem. Zobaczyłam, jak dwóch robotników poruszało się po pokładzie na małych rowerkach, by nie tracić czasu i siły (a upał był piekielny) na długie marsze. To się nazywa mądra organizacja zbiorowego wysiłku. Zdumiała mnie też idealna czystość. Dźwigi wciąż dostarczają różne elementy, więc tym bardziej dba się o to, by nie było bałaganu i brudu.

Gdy nastąpił uroczysty chrzest, statek wyglądał jak wyjęty z pudełka. Wszystko lśniło niczym w najlepiej utrzymanym salonie, a robotnicy w nieskazitelnych kombinezonach i bielutkich rękawiczkach sprawiali wrażenie gości, a nie ludzi, którzy w takim mozole budowali owego kolosa. Oto jak wyglądają skośnoocy „barbarzyńcy" tu w stoczni i wszędzie, nawet tacy, którzy zajmują się wywożeniem zawartości szamba i śmietników.

Pilną korespondencję rozwożą japońskie gończynie korzystając z takich oto jednoosobowych samochodzików

Codzienna kąpiel niemal we wrzątku to dla Japończyka życiowa konieczność od stuleci. A pamiętacie, jak Anglik z „Shoguna" wzbraniał się przed wejściem do kadzi z gorącą wodą? Co kraj to obyczaj.

POLUBIŁAM JOKOHAMĘ

Znałam w Tokio wielu cudzoziemców, którzy chcąc nieco odpocząć od stołecznego zgiełku jechali do Jokohamy twierdząc, że ludzie tam sympatyczniejsi, a życie płynie nie tak gorączkowo, że tam bardziej pachnie Dalekim Wschodem. Może to moje stare sentymenty sprawiły, że i ja czułam się tam dobrze. Spacerowałam nad brzegami kanałów przecinających miasto, patrzyłam na tysiące barek często zamieszkanych przez całe rodziny, lubiłam wieczory w chińskiej dzielnicy pełnej kolorowych sklepików, restauracyjek i marynarzy różnych narodowości.

Kupuję „na kopy" różne pamiątki, w tym także wachlarze podobne do tego mojego... Głównie jednak zaopatruję się w inne japońskie specjalności: kwarcowe zegarki, kalkulatory, podręczne komputery, gry telewizyjne będące symbolem współczesnej Japonii.

W portowych dzielnicach Jokohamy nie chodzi się jednak do nastrojowych herbaciarni, ale pije piwo z puszek, nie klęka się na sposób japoński przy stoliczkach z laki, by za pomocą pałeczek raczyć się ryżem i rybkami, ale połyka się w pośpiechu „hot dogi" i hamburgery. Nie zna się tu również nastroju koncertów na starych instrumentach, koto i shamisen, bywalcy barów wolą zgiełk rockowych zespołów. Wszystko to znajdują w Jokohamie tak jak w innych wielkich portach świata...

Wracałam do Polski naszym statkiem „Ocioszyński" odpływającym właśnie z portu Jokohama. Była wczesna wiosna, wiał jeszcze chłodny wiatr, ale na rosnącej między wielkimi składami portowymi rachitycznej śliwie rozkwitły już pierwsze białe pączki. Dokerzy bardzo uważali, żeby ich nie strącić...

JANINA RUBACH-KUCZEWSKA

wagaromajówka

W niektórych szkołach obchodzi się (nielegalnie!) pierwszy dzień wiosny jako Dzień Wagarowicza. Władze oświatowe nie zatwierdziły takiego święta, ale brać uczniowska ma nadzieję, że kiedyś może to nastąpić. Argumentem za tym może być fakt, że już w XIX wieku istniał podobny obyczaj. Był to jednak nie pierwszy dzień wiosny, lecz 1 lub 2 dzień maja. Pustoszały wówczas „budy", a uczniowie wraz (tak!) z szacownym gronem profesorskim wędrowali na zieloną trawkę, za miasto. Tam, wśród zieleni lasów i pól, używano swobody (miarkowanej przez pedagogów). Raczono się przygotowanym przez mamy jadłem, urządzano gonitwy, śpiewano pieśni, deklamowano wiersze. Zabawy kończyły się o zmierzchu i całe towarzystwo wracało zmęczone, lecz pełne wrażeń w miejskie mury. Cóż to jednak za wagary, które obywały się w całkiem legalny sposób...

Majówki – majowe wyprawy za miasto, na zieloną trawkę od dawna należą już do miejskiej tradycji. Maj ma tę moc przedziwną, że wyciąga nawet najbardziej zakamieniałych mieszczuchów z domów i zachęca do korzystania z uroków wiosny – jak w wierszu-piosence K. I. Gałczyńskiego o urzędnikach, których oczarowała wiosna...

Na zdjęciu – uroki maja podane na pięknie zdobionym porcelanowym talerzu. Dlaczego jednak droga zagrodzona? Czyżby ostrzeżenie dla tych, co zbyt łatwo i często na wiosnę padają pod strzałami Amora?

chwila poezji

Zaproszenie na wycieczkę

Sobota. Godzina trzecia.
Ach, jaki piękny świat!
Motyl z szuflady wyleciał
i wietrzyk przez okno wpadł.

Piosenka w szalonej głowie
szumi jak młody las.
Za miasto, za miasto, panowie,
wędrujmy w majowy czas.

„Na majową wycieczkę!"
śpiewaj ze mną i mrucz.
Zostaw suszkę i teczkę,
zamknij biurko na klucz;
popatrz tylko na drzewa,
na te brzozy i bzy;
bez kwitnie, wilga śpiewa,
kwitnij, śpiewaj i ty.

Na szosie, szerokiej szosie
ileż młodzieńczych snów!
Boso pójdziemy po rosie,
kapelusz rzucimy w rów.
Z odkrytą głową na wietrze
miło tak razem iść.
Pachnie majowe powietrze.
Tańczy brzozowy liść.

„Na majową wycieczkę!" (itd.)

A kiedy wieczór odświeży
łąkom rozgrzane źdźbła,
do romantycznej oberży
zawiedzie nas ścieżka pstra.

Świerszczyk zaćwierka w kominie.
Nietoperz wzleci nad mur.
I pełny księżyc popłynie,
jak okręt przez porty chmur.

„Na majową wycieczkę!" (itd.)

1939 r.

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

Oto kostiumik wiosenno-letni uszyty z dwóch materiałów w tej samej gamie kolorystycznej, choć o odmiennych barwach, np.: różowej i fioletowej. Zestawienia mogą być najrozmaitsze, kompozycja – również. Zauważcie. Żakiet ma asymetryczne zestawienia kolorów, poczynając od rękawów (jeden jest różowy, drugi fioletowy), podobnie rzecz się ma z kołnierzykiem i z całym przodem. Dla chłopców proponujemy dżinsowe spodnie i nieco poszerzoną kurteczkę bezrękawnik (rękawy mogą być odpinane). (gm)

KRZYŻÓWKA z IDOLEM

na str. 24

POZIOMO: 1) statek Noego (albo przedsiębiorstwo połowowe na naszym wybrzeżu), 4) koń ze skrzydłami, 7) stolica Litwy, 9) pokłon, 10) anglosaska miara ziemi, 11) pies myśliwski, 12) ptak domowy (najlepszy z borówkami), 13) uciekinier, 14) koszenie trawy lub zboża, 15) w radiu bywa magiczne, 16) to, co można przypiąć bliźniemu, 19) cyrkowy śmieszek, 20) może być fryzjerski, 21) gwałtowne oberwanie się skały, oberwisko, 22) ptak śpiewający (albo maść konia), 24) nie mężatka, 25) może być wiolinowy, 28) delikatesowe mięso, 29) to, czym kończy się zwykle bajka, 31) największa w Polsce elektrownia cieplna wykorzystująca węgiel brunatny, 32) świta królewska, 38) głębia malowidła, 42) pogawędka, 43) np. suseł, 44) łata w zębie, 45) marchew nad ziemią, 47) jedna z planet Układu Słonecznego, 50) półczłowiek i półkozioł w mitologii greckiej (albo rzymski faun), 52) zimowe okrycie, 54) autor „Króla Maciusza Pierwszego", 55) to, co pcha statek do przodu, 56) eksport, 57) przeddzień (wieczerza rozpoczynająca Boże Narodzenie), 58) obiekt umożliwiający roślinom szybsze dojrzewanie, 59) kamień szlachetny lub kolorowy telewizor.

PIONOWO: 1) żart, dowcip, 2) kajzerka, 3) gniew, irytacja, 4) pieniek, klocek, 5) orzeł biały, 6) bractwo mnichów, 7) kwitnie jesienią w lesie, 8) czasopismo stronnictwa, organizacji, 17) egzotyczny owoc wewnątrz czerwony, 18) barka, galar, 22) tłustość w kości, 23) kobyła, 26) zło, 27) słodka, plecionâ bułka pszenna, 28) mądry cytat lub złota myśl rozpoczynająca jakiś tekst, 30) myśliwy, 33) zwitek, zwój, 34) zamieszanie, 35) stragan, 36) wdzięk, urok, 37) może być wyścigowy, może być kolejowy, 38) pląs, 39) rybia kość, 40) narzędzie pracy tracza, 41) narządy wzroku, 46) rzadkie imię męskie, 48) rzeka, dopływ Wisły wypływający w Beskidzie Wysokim, 49) trakt, ulica, 50) przeraźliwy upał, 51) śmiałość, pewność siebie, 52) pudel, 53) niewielka oś.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać litery z barwnych pól (według zaznaczonej kolejności), które utworzą złotą myśl Seneki, słynnego rzymskiego filozofa i pisarza.

ROZWIĄZANIE krzyżówki (wystarczy samo hasło) nadsyłajcie w ciągu 10 dni od ukazania się tego numeru pod adresem: Redakcja „Płomyka" – ul. Spasowskiego 4, 00-950 Warszawa, skr. poczt. 380. Rozwiązania prosimy przesyłać na kartkach pocztowych lub z dopiskiem na kopercie „Krzyżówka z nru 9". Pomiędzy czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

GRAJĄCA SZCZOTECZKA

Nawet tak zwykłe zajęcie jak mycie zębów można sobie uprzyjemnić skoczną melodią, która rozlega się przez półtorej minuty... ze szczoteczki do zębów. Szczoteczkę taką wynalazł francuski stomatolog Pierre de Cornberill chcąc w ten sposób zachęcić dzieci do mycia zębów. Szczoteczka gra tylko wtedy, gdy używa się jej prawidłowo, to znaczy, porusza z góry na dół. W główce szczoteczki zamontowano mechanizm grający, który może odtwarzać aż 30 różnych melodii. Przez miesiąc słyszy się więc codziennie coś nowego. (*wk*)

JĘZYKOWE

Jak to wymówić?

Najwięcej kłopotów sprawiają wyrazy obce i to przede wszystkim te, które niedawno zostały zapożyczone przez polszczyznę. Na przykład nie mamy pewności, jak wymawiać wyraz *loggia*, oznaczający pewien rodzaj balkonu. Słowo to przejęliśmy z języka włoskiego i powinniśmy je wymawiać w sposób jak najbliższy do oryginalnego, a więc *lodżja*.

Okazuje się jednak, że wymowa wielu często używanych wyrazów polskich lub już dawno zadomowionych w naszym języku sprawiać może także kłopoty. Bo czy wszyscy wiedzą, jak zwrócić się do koleżanki, podając jej cukiernicę: *Proszę, słódź* czy *Proszę, słodź?* A kiedy ktoś chwali się prezentami otrzymanymi na imieniny, to jak powinien powiedzieć: *Dostałem nowy sweter* czy *nowy swetr?* Nie wszyscy też wiedzą, jak nazywa się mały, nieprzyjemny owad *mol* czy *mól?* Takich kłopotliwych wyrazów jest dużo więcej.

Niestety nie istnieje jakaś jedna ogólna zasada. Po prostu trzeba zapamiętać właściwe brzmienie wyrazów. Najłatwiej oczywiście jest wtedy, gdy jakieś słowo można wypowiadać na dwa sposoby. Tak się dzieje w wypadku pary *słódź* i *słodź*, *dwóm* i *dwom*, *kościołek* i *kościółek* oraz *muchomór* i *muchomor*.

Ale powinno się mówić tylko *mól* (w znaczeniu „owad"), nigdy *mol*, a także *probówka* (nie: *próbówka*).

Podobnie bywa w wypadku innych wątpliwości, na przykład dotyczących tego, czy w jakimś wyrazie powinno być *a* czy *e*. Wiele osób mówi: *tutej, dzisiej, wczorej*, chociaż jedynie poprawne formy to: *tutaj, dzisiaj, wczoraj*. Często wahania dotyczą także takich słów: *śmiali się* czy *śmieli się*, *siali* czy *sieli*, *grzali* czy *grzeli*, *chwiali* czy *chwieli* itp. We wszystkich przytoczonych parach obydwie formy są dopuszczalne, ale lepiej używać tych pierwszych (z *a*), bo mają one zasięg ogólnopolski, tym z *e* natomiast posługują się tylko mieszkańcy niektórych regionów naszego kraju.

Jeśli chodzi o to, czy należy mówić *swetr* czy *sweter* – nie ma wątpliwości. Poprawna jest wyłącznie forma *sweter*, mimo że w innych przypadkach mamy: *swetra, swetrem* itd.

WIELOKROPEK...

TROCHĘ GIMNASTYKI

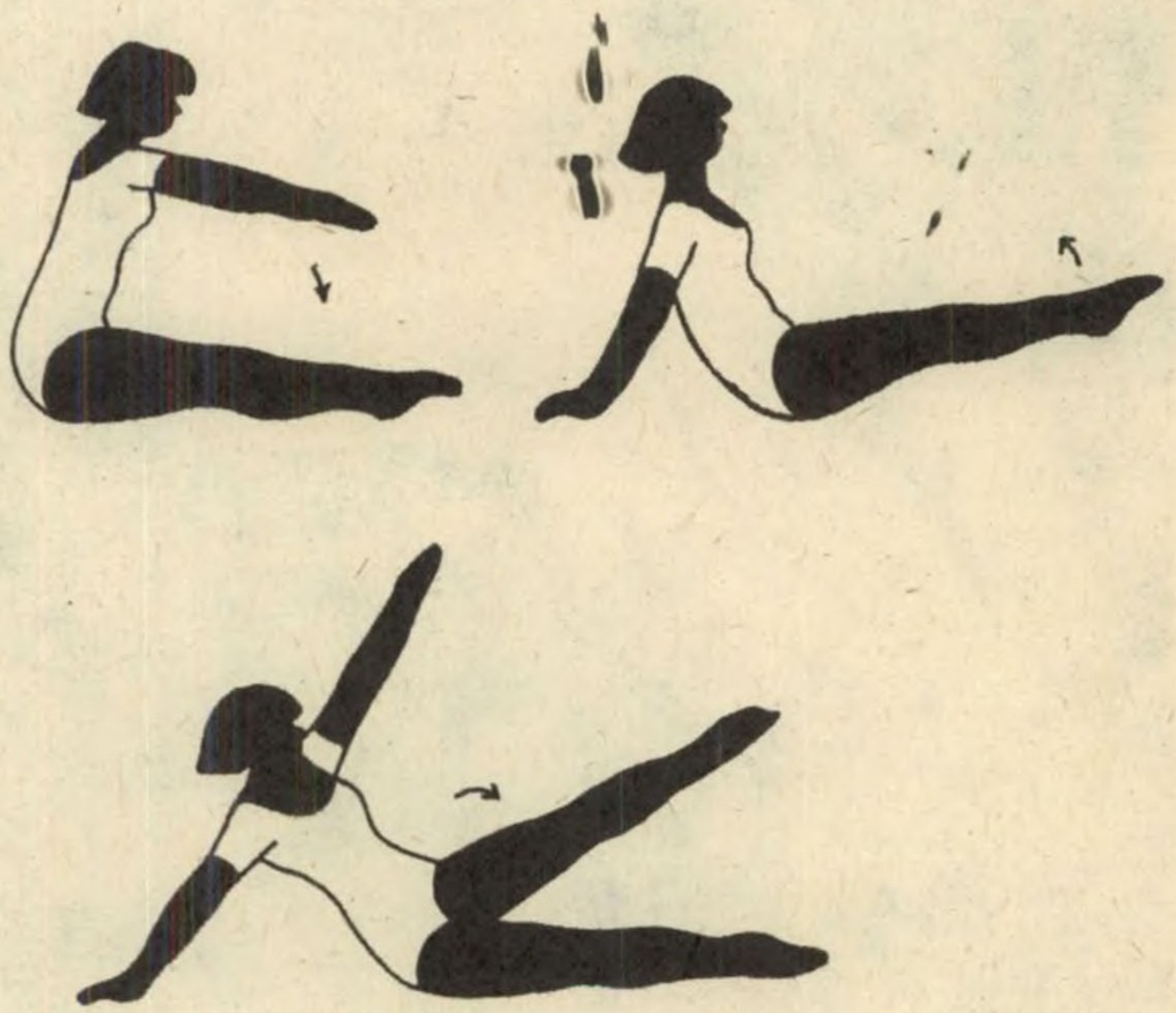

- Połóż się na plecach, wypręż ciało, ramiona i ręce wyciągnij do przodu. Powoli unoś tułów do góry, pochylając się jednocześnie do przodu tak, aby czołem dotknąć kolan. Nogi przez cały czas przylegają do podłogi. Powróć do pozycji wyjściowej.
- Usiądź na podłodze. Tułów odchylony do tyłu, rękami podeprzyj się za plecami. Wyprostowane w kolanach nogi unieś energicznie do góry, po czym powoli je opuszczaj, prostując jednocześnie tułów.
- Jeszcze raz usiądź na podłodze z wyprostowanymi nogami. Lewą ręką oprzyj się o podłogę, przenosząc jednocześnie prawą nogę nad lewą nogą, z wyraźnym skrętem prawego biodra w lewo. Prawa ręka uniesiona nad głową. Wróć do pozycji wyjściowej. Podeprzyj się prawą ręką o podłogę, przenosząc jednocześnie lewą nogę nad prawą z wyraźnym skrętem lewego biodra w prawo. Lewa ręka uniesiona nad głową. Ćwiczenie powtarzaj na zmianę. *(gm)*

JABŁKA DODAJĄ ZDROWIA I URODY

Kiedy nie mam apetytu, dostaję jabłka, kiedy nie ma mięsa na obiad mama robi naleśniki z jabłkami, jabłka dostaję na drugie śniadanie do szkoły – dla zdrowia – jak mawia moja mama, wierząc w niezwykłe dobrodziejstwa tych owoców. A ja po prostu nie cierpię jabłek i wiem, że mają mało witamin. A więc, czy warto je jeść? Proszę napiszcie o tym.

Alina

Rzadko się zdarza, że ktoś nie lubi jabłek. Być może jadasz ich za dużo, choć to nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Jeśli nawet jabłka nie są tak bogate w witaminy, jak np. porzeczki, śliwki, cytryny czy żurawiny, to mają ogromną wartość dla naszego zdrowia. Co o tym decyduje? Pektyny zawarte w jabłkach oczyszczają przewód pokarmowy z niestrawionych resztek, rozpuszczają ponadto cholesterol. Jeśli chodzi o zawartość witamin, to istotnie, mają niewiele witaminy C. Nie obfitują także w składniki mineralne, chociaż w wielu kuracjach upiększających, stosuje się je jako niezbędny dodatek, ważny dla utrzymania jędrnej skóry, zdrowych włosów i paznokci oraz czystości cery. Stąd właśnie opinia, że jabłko zjedzone rano i wieczorem dodaje zdrowia i... urody. *(gm)*

Mr Z'OOB

Mr Z'OOB został zauważony po raz pierwszy na Ogólnopolskim Młodzieżowym Przeglądzie Piosenki w 1984 r. we Wrocławiu, prawdziwa popularność przyszła jednak po nagraniu pierwszych utworów dla radia i telewizji („Kartka dla Waldka", „Izolatka"). Piosenki tego zespołu wyróżniają się ciekawą aranżacją i dowcipnym tekstem, a także tym, że łatwo wpadają w ucho.

Sami muzycy mówią o sobie, że grają rock steady, bogaty w wiele różnorodnych rozwiązań brzmieniowych, nie grozi mu więc monotonia. Niektórzy krytycy zarzucają im, że starają się naśladować brytyjski zespół „Madness" – Mr Z'OOB utrzymuje, że o grupie tej usłyszał po raz pierwszy, gdy już został posądzony o kopiowanie jej muzyki...

Trudno rozstrzygnąć, kto ma rację, ale chyba nie powinno nam przeszkadzać, że mamy w kraju zespół, który prezentuje dobrą muzykę.

Dyskografia Mr Z'OOB jest wciąż niewielka. Do tej pory ukazał się tylko singiel zrealizowany dla Tonpresu, kilka jego piosenek ma się wkrótce ukazać – obok utworów innych wykonawców – na długogrającej płycie – składance Savitoru.

Dlaczego tak mało? Członkowie zespołu twierdzą, że są nastawieni przede wszystkim na koncerty. Chcą grać „na żywo", utrzymywać kontakt z publicznością i bawić się wraz z nią. A o nagraniach pomyślą później.

Ostatnio Mr Z'OOB gra w zmienionym składzie. Odszedł dotychczasowy wokalista – Andrzej Denarski, zastąpił go Grzegorz Radzimski. Zmienił się również basista, jest nim obecnie Piotr Ortel. Mimo zmian personalnych – zapewniają członkowie zespołu – program pozostanie w zasadzie ten sam.

Potwierdziły to koncerty, z którymi Mr Z'OOB wystąpił pod koniec lutego w Warszawie. Mimo nowego składu, zespół zachował własny styl, nie stracił humoru, jak również chęci bawienia siebie i innych, a jednocześnie nadal ma coś do powiedzenia publiczności swoją muzyką.

VIOLETTA LEWANDOWSKA

KARTKA DLA WALDKA

Tramwaj przejechał mi przez śniadanie
bezczelnie wjechał w mój dom.
Przy stole zrobił sobie przystanek
choć dotąd tu nie było go.
Pan motorniczy w żółtym berecie
wyskoczył, oznajmił mi,
że mnie zabiera w podróż po świecie
Wiadomość włożyłem w drzwi.

Ref.:
Nie gniewaj się Waldek
ten tramwaj jest naprawdę twój
a reszta moja

Nie ogolony, nie odświeżony
sprawdziłem, czy bilet mam
Siedząc nobliwie, z twarzą przy szybie
stwierdziłem, że byłem sam
W całym tramwaju żywego ducha
i motorniczy gdzieś zwiał
może go wcale tutaj nie było
a może byłem nim ja.

Ref.:
Nie gniewaj się Waldek...

Ja motorniczym, ja pasażerem
całym tramwajem byłem ja
ciemną ulicą i ladacznicą
wyczekującą w jednej z bram
O tej dziewczynie, co nie wierzyła
że mógłbym zabrać ją stąd
później opowiem, bo mi po głowie
pomysłów innych już chodzi ze sto.

Ref.:
Nie gniewaj się Waldek...

Tekst: GRZEGORZ TOMCZAK

Retro-tramwaj dla Waldka,
a jeszcze inny – w środku numeru

anty-komputery

Soroban to japońska odmiana zwykłego liczydła. To zapomniane proste urządzenie znów robi karierę, i to w Japonii, w kraju najbardziej skomputeryzowanym. Mieszkańców Nipponu ogarnęła prawdziwa gorączka liczenia na liczydłach. W całym kraju powstało wiele kursów posługiwania się liczydłami, a dyrekcje różnych przedsiębiorstw chętnie godzą się na używanie do wielu czynności rachunkowych prostego sorobanu zamiast kalkulatorów. Skąd ten powrót do prostych urządzeń liczących? Podobno na liczydłach popełnia się mniej błędów, a doświadczony rachmistrz potrafi szybciej przesuwać krążki liczydeł niż naciskać klawisze kalkulatora.

Zwycięzcy zorganizowanych w Japonii mistrzostw liczenia na liczydłach potrafili w ciągu 5 minut rozwiązać przy pomocy liczydła 20 zadań, z których każde obejmowało dodawanie 20 jedenastocyfrowych liczb.

Głównym producentem japońskich sorobanów jest koncern Matsushita Elektronic Industrial, produkujący najnowocześniejsze kalkulatory elektroniczne. „Może to komuś wydać się dziwne – powiedział dyrektor owego przedsiębiorstwa, ale ludzie nie przestają przecież chodzić, mimo że mają samochody i samoloty. Dlaczego więc nie mogą się posługiwać liczydłami obok kalkulatorów?" (*wk*)

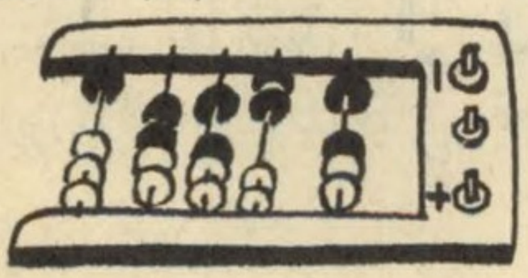

ZAPIEKANKA NALEŚNIKOWA

Nie zapowiada wielkich niespodzianek smakowych... a jednak. Ci, którzy mieli okazję ją spróbować, twierdzą, że jest pyszna.

Proporcje zależą od tego, dla ilu osób chcemy danie przygotować. Np. dla 5 osób smażymy nieco wcześniej 10 placków naleśnikowych. 40 dag pieczarek myjemy pod bieżącą wodą, dusimy w maśle roślinnym z drobno posiekaną cebulą, doprawiamy solą i pieprzem do smaku. Kiedy pieczarki zmiękną dodajemy trochę śmietany i nieco żółtego startego sera. Masa pieczarkowa powinna być gęsta. Na każdy naleśnik kładziemy cienki plasterek wędliny i łyżkę pieczarkowego nadzienia. Zawinięte w rulon naleśniki, układamy w żaroodpornym naczyniu, polewamy śmietaną i suto posypujemy tartym żółtym serem. Zapiekać aż do zrumienienia sera. Danie to można przygotować wcześniej, tylko zapiekać w ostatniej chwili, gdyż podajemy je na stół prosto z piekarnika.

SZASZŁYK Z PARÓWEK

40 dag parówek umyć, obrać z osłonki, pokrajać na kawałki 3 centymetrowe. 6 dag tartego chrzanu wymieszać z żółtkiem, doprawić do smaku. 25 dag wędzonego boczku pokrajać w cienkie plastry, posmarować je chrzanem, ułożyć parówki, zawinąć, panierować w rozbełtanym jajku i bułce tartej, nadziać parówki na szpadki metalowe, ułożyć na blasze, polać tłuszczem i upiec w gorącym piekarniku.

PARÓWKI W SOSIE POMIDOROWYM

40 dag parówek umyć i obrać z osłonki, pokrajać w plasterki. Obrać 25 dag cebuli, opłukać, pokrajać w półplastry i usmażyć. Dodać parówki, doprawić do smaku solą czosnkową (jeśli ktoś lubi), wbić 4 jajka, polać obficie sokiem pomidorowym. Można podawać z ziemniakami lub z pieczywem. (*gm*)

PŁOMYKOTEKA

PATRYCJA I INNI

ZZA WĘGŁA

Dużo już napisałem o Patrycji, ciągle zaś za mało o tych „innych". A różni bywają ci „inni"... Na przykład w VII^{c}. Samorząd jak samorząd: gospodarz, zastępczyni, sekretarz i skarbniczka. A klasa? Też taka sama jak inne: kilka osób podejmuje się różnych prac, reszta nie odmawia, jak poprosisz, choć sama się nie zgłasza. I kilkoro takich, którzy nic nie robią i wyraźnie są odwróceni tyłem do samorządu.

– Ak-ty-wiś-ci – podśmiewają się. – Pracujcie, dostaniecie order z kartofla!

Albo tak:

– Co ja się będę wysilał? Wybraliśmy ich, to niech pracują. Mogli się nie zgadzać. A teraz do roboty i koniec.

Bywa też inaczej:

– Dorwali się do władzy. Chcą się zasłużyć nauczycielom. Ooo... jak się popisują. Co ja mam z nimi wspólnego? Mnie nie zależy na takich zaszczytach.

I bywa też najgorzej. Tak jak się właśnie wydarzyło w VII^{c}. Na dużej przerwie w grupie chłopców padło jedno, ale za to złowrogie zdanie:

– Misiek kabluje.

Ten zwięzły komunikat oznaczał, że Michał, gospodarz klasy, donosi nauczycielom na swoich kolegów. Nikt później nie umiał powiedzieć, skąd pochodziła ta informacja. Nikt nie umiał sobie przypomnieć, kto to pierwszy powiedział. Po prostu „tak się mówiło"...

Tak się więc mówiło. Po cichu, trącając się łokciem porozumiewawczo. Tyle tylko, że Misiek, czyli Michał, długo nic o tym nie wiedział. Odsuwali się od niego, milkli, gdy podchodził bliżej, robili miny osób, które coś wiedzą, ale nie chcą mówić.

Michał wyczuwał, że coś nie jest w porządku, nie domyślał się jednak, o co właściwie chodzi. Jego zastępczyni, Dagmara, sekretarz, Artur i skarbniczka, Monika, też patrzyli na Michała podejrzliwie, choć trudno im było uwierzyć, że „Misiek kabluje".

Wychowawca klasy VII^{c} dowiedział się o wszystkim dość późno. Zmartwiła go ta sprawa, ale czuł się trochę bezradny.

W końcu – z różnych aluzji i półsłówek – Michał dowiedział się, o co chodzi. Był jak ścięty. W ciągu kilku dni zmienił się nie do poznania. Pobladł, posmutniał, unikał kolegów. Kilka razy nie przyszedł do szkoły, po prostu uciekł na wagary. Wreszcie po dwóch tygodniach zgłosił się do wychowawcy i poprosił go o zwolnienie z funkcji gospodarza klasy.

– Wybrała cię klasa, więc złóż rezygnację na zebraniu – orzekł wychowawca.

Tak też Michał uczynił. Powiedział, że nie najlepiej się czuje w tej roli, że nie chce dłużej pracować w samorządzie.

– Ale dlaczego nie mówisz prawdy? – wyrwała się znienacka Dagmara. – Przecież wszyscy wiedzą, że nie dlatego chcesz odejść.

Michał nie odezwał się. Ale do głosu dorwał się Artur

– Wszyscy wiedzą, o co chodzi. To dlatego, że Misiek ma w klasie „zepsutą opinię". Ktoś go oczernił, że jest donosicielem.

– Dlaczego „oczernił"? A może to prawda? Jeżeli tak mówią, to chyba coś wiedzą... – powiedział Krzysiek.

– „Mówią", „ktoś", „coś", a kto to mówi i skąd wie? – rozzłościła się Dagmara. – Łatwo rzucić takie oszczerstwo na kogoś, ale jak on ma się z tego oczyścić? Przecież nikt mu tego nie udowodnił!

– Dobrze, dobrze, ale gospodarz musi być bez skazy, czyli poza podejrzeniami, a jeżeli mówią, że on donosi na nas belfrom... – Krzysiek spojrzał nagle na wychowawcę i dodał szybko:

– Przepraszam, tak mi się samo powiedziało.

– Nie szkodzi – odrzekł wychowawca – przecież jestem nauczycielem, czyli tak zwanym belfrem. Ale i tak oświadczam wam i daję na to słowo honoru, że Michał nic nie mówił do nauczycieli o kimkolwiek z was. To jest tylko paskudna plotka.

– No to, o czym my mówimy? Niech Michał będzie dalej gospodarzem, bo dobrze się spisywał! – zawołała Dagmara, a Monika i Artur zawtórowali jej gorąco. Inni też potakiwali z ulgą, że sprawa się wyjaśniła. Była brzydka sprawa, a teraz już jej nie ma...

Ale Michał wstał jeszcze raz i powiedział

– Dla mnie nic się nie wyjaśniło i nie wyjaśni. Nie chcę być gospodarzem w tej klasie. – Podkreślił słowa: „W TEJ KLASIE".

Zapadło milczenie.

– Masz prawo nie chcieć – powiedział wychowawca.

Skorzystał więc z tego prawa. Wybrali Artura na nowego gospodarza. Jeszcze też ktoś wstał i w imieniu klasy przeprosił Michała za podejrzenia i przykrości.

Ale Michał już do samych wakacji nie odzyskał dawnego humoru. Był wszędzie sam, ze swoją goryczą, jakby żył obok klasy. Po wakacjach nie wrócił do tej szkoły. Jeździ autobusem do innej, na drugi koniec miasta.

– ... Nie, nie obraziłem się na szkołę – powiedział kiedyś przypadkowo spotkawszy Patrycję. – Ale wiem, że nie mam już serca do tych kolegów i nigdy nie będę miał.

Dodał jeszcze:

– Zresztą nieważne. Było, minęło...

Ale Patrycja mówi, że w oczach miał wypisane, że dla niego nic z tej sprawy nie minęło i nieprędko minie.

– Wyglądał jak ugodzony zza węgła – tak to określiła Patrycja.

SENIOR

Rys. *Julian Bohdanowicz*

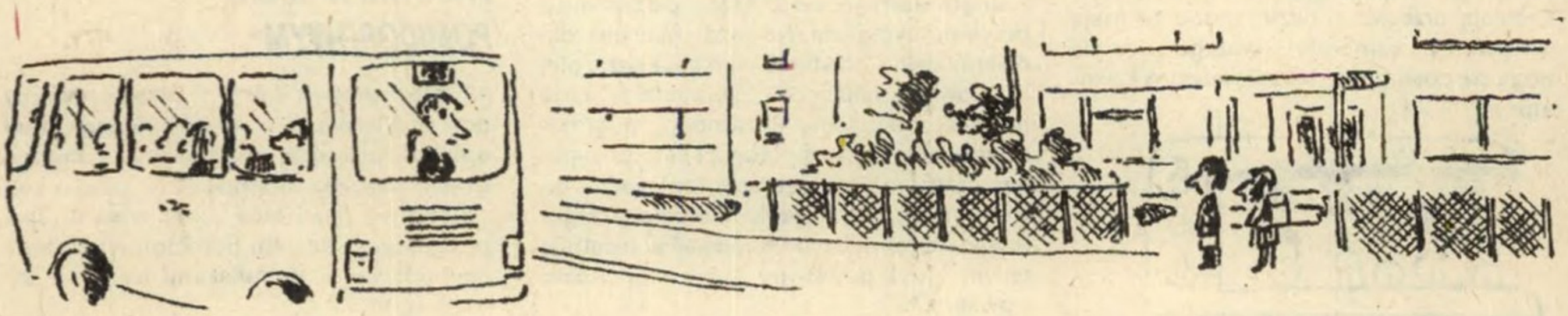

PŁOMYKOTEKA

SUKIENKI BARDZO KOBIECE

Nikt chyba nie może uskarżać się na nudę i monotonię we współczesnej modzie. Oszałamia nas tyloma jednocześnie oferowanymi propozycjami, że niektórzy czują się zdezorientowani. Ciągle słyszę pytania: to co w końcu jest modne – długie sukienki czy krótkie, wąskie czy obszerne, szarobure czy wściekle kolorowe? Co nosić, na co się zdecydować, aby być w awangardzie? Otóż najlepiej nosić to, w czym czujemy się dobrze i co pasuje do naszej aparycji. Trzeba nauczyć się wybierać z wielu modnych wzorów te elementy, które złożą się na nasz indywidualny styl.

Dzisiejsza propozycja ucieszy z pewnością dziewczyny niechętne długim i przeobszernym strojom, dziewczyny lubiące demonstrować swą kobiecość – walory damskiej sylwetki, ale niezbyt lubiące szokować ekstrawagancją. Dla nich właśnie mogą być odpowiednie sukienki inspirowane modelami z lat minionych.

Fasony, które u góry widzicie, wywodzą się z lat pięćdziesiątych. Są od kilkudziesięciu lat znane i niemal stale pojawiały się gdzieś na poboczach mody. Właściwie można je uznać za nie wychodzące z mody, ale sezon wiosenno-letni '85 przywraca im wysoką rangę.

Żeby najkrócej scharakteryzować te fasony, wystarczy wymienić trzy ich najważniejsze cechy: poszerzone ramiona, wyraźnie zaznaczona talia i długość kręcąca się wokół kolana. Ale projektanci nie mogli jednak powstrzymać się, by nie rozchylić sukienkowych spódniczek powyżej kolan. Doły tych stroików, opatrzone rozporkami i rozcięciami, są niezbyt obfite – lekko zmarszczone lub układane w fałdy. Biodra rysują się pod nimi dość wyraźnie, jako nieodzowny atrybut kobiecości. Co do talii, to powinna robić wrażenie, że jest osiej smukłości, bowiem te sukienki retro ściąga szeroki pas. Jako że jest odmienny w kolorze i z innego niż całość surowca (zazwyczaj skórzany), staje się centralnym punktem sylwetki.

Powyżej kibici, maksymalnie ściśniętej, góra nieco obszernieje, lecz nie na tyle, by zagubić kształt biustu. Błyska on w otworze dekoltu, tak budowanego, by można go było powiększać rozchylaniem klap, rozpinaniem guzików, rozsuwaniem materii udrapowanej w fałdy. Szyję ma prawo zasłaniać szyfonowa chusteczka, jedwabna apaszka, powiewny szal, ale najlepiej jeśli przy tych bardzo kobiecych ubiorach bywa ona po prostu goła, prezentowana w całej okazałości.

Fryzury powinny być modnie strzyżone, krótkie i długie, bez specjalnego wypieszczenia. No i kolczyki oraz klipsy, które uwspółcześniają ten retro-strój barwami i rozmiarami – mogą być duże, w intensywnych barwach.

A teraz uwaga! – co do tkanin, to powinny być jednego z dwóch rodzajów. Albo pozujemy na „dziecinność" i szyjemy te sukienki z tradycyjnie wdzięcznych materiałów: łączkowatych, pasiakowatych, kropeczkowatych perkalików, płócienek, jedwabków itp. Albo decydujemy się na większą seksowność stroju, a wówczas mogą to być surowce tekstylne o wyglądzie podobnym do skóry – połyskliwe i dające się drapować w fałdy.

Bardzo ważne w tym stylu są buty, pończochy i torebki. Pantofle obowiązują czółenkowate, na obcasie, najczęściej czarne. Pończochy lub rajstopy mają być cienkie z połyskiem, a superstyl – to ze szwem z tyłu. Mogą być cieliste, przydymione albo czarne. Torebki – to nie żadne wory czy plecaki, ale małe, trochę „ciotowate" torebeczki do noszenia w ręku lub pod pachą. Bransoletek raczej się nie używa, a jeśli już, to niezbyt duże, z metalu, łańcuszkowate. Tak wystrojone możecie zabłysnąć na każdej balandze czy prywatce. Bo nie da się ukryć, że kreacje dziś opisywane nie bardzo nadają się na co dzień, jako że bieganie na wysokich obcasach nie należy do przyjemności.

W latach pięćdziesiątych tak ubierały się dziewczyny trochę od Was starsze i całkiem dorosłe. Jeśli chcecie je naśladować na swoich prywatkach – skorzystajcie z propozycji, jaką czyni ta retro-moda.

ELŻBIETA MONIKA MAŁKOWSKA

POCZTA »PŁOMYKA«

Napad w bunkrze

Jest nas pięć i przyjaźnimy się ze sobą. Mamy po 12 lat. Postanowiłyśmy opisać straszną przygodę, jaka nas spotkała. Kiedy wyszłyśmy na spacer i przechadzałyśmy się koło starego bunkra, usłyszałyśmy głos Jarka (chłopca z naszej klasy), wołał on, że znalazł naboje i jakieś stare pierścienie, i że właśnie biegnie po panią od historii, a my mamy tam wejść do tego bunkra, aby pilnować i z drwiącym uśmieszkiem pobiegł w kierunku miasta. Zauważyłam ten uśmiech i nie chciałam wejść, lecz Ela złapała mnie za rękę, zaczęła się śmiać i wciągnęła mnie do środka. Jakie było nasze zdziwienie i przerażenie, kiedy okazało się, że w bunkrze są chłopcy, którzy natychmiast się na nas rzucili. Chcieli nas bić i zdzierać z nas ubrania. Może by się to im udało, ale jedna z nas złapała cegłówkę i nie świadoma tego, co robi rzuciła nią z całej siły w chłopca, który ją napastował. Wydał okropny krzyk i chłopcy zajęli się nim, a my korzystając z zamieszania – uciekłyśmy. Od tego czasu chłopcy opowiadają o nas różne niestworzone rzeczy i dokuczają nam. Co mamy robić? Czy mamy opowiedzieć o tym rodzicom?

„Zrozpaczone"

Opis zdarzenia świadczy o tym, że napad na was był zorganizowany. To nie był nieprzemyślany „wygłup". Zachodzi obawa, że może się coś podobnego powtórzyć, a ofiarą będzie któraś z waszych koleżanek. Zachowanie chłopców świadczy o tym, że czują się całkiem bezkarni. Właśnie dlatego powinnyście opowiedzieć to zdarzenie komuś z rodziców, kto przedstawi tę sprawę w szkole, aby znaleźć skuteczny sposób na zawrócenie waszych kolegów z niebezpiecznej drogi. Tak to się nieraz zaczyna w wieku lat 12, a kończy się sądowym wyrokiem.

A tata wciąż milczy...

Mam 15 lat i bardzo dziwnego tatę. Żyje z moją mamą już 20 lat i nigdy nie dochodziło u nas do bicia. W ogóle idzie im świetnie. Ale ja czuję się w domu źle, bo tata i ja tak pasujemy do siebie jak sznurowadło do szklanki. Dlaczego? Od najmłodszych lat nie byłam u niego na kolanach (teraz tego nie wymagam!), nigdy mnie nie przytulił, nigdy nie byliśmy razem poza domem, jak np. w kinie, na spacerze itp. Czy taki powinien być tata? Czasami bywa, że przez trzy dni się do mnie nie odzywa. Wtedy ja go też o nic nie pytam, bo jak coś mówię to tata wciąż milczy, a jak musi odpowiedzieć to odpowiedź będzie burknięta pod nosem. Nieraz mama mówi: idź porozmawiaj z ojcem. Ale ja nie umiem z nim rozmawiać. Ojciec potrafi się rozgadać dopiero jak sobie trochę od czasu do czasu wypije. Wtedy to się zaczyna całe przemówienie. Ja bardzo kocham tatę, ale za co? Chyba za jego milczenie. Dłużej już tak nie wytrzymam. Ciągle cisza w domu, jakby makiem zasiał. Tylko z mamą trochę sobie pogadam, i tak jest codziennie. Nawet wstydzę się zwierzyć ze swojego zmartwienia przyjaciółce, bo ona ma kochanego tatę.

„Agata"

Bywają ludzie bardzo zamknięci w sobie, którzy nie uzewnętrzniają swoich myśli i uczuć. Do takich ludzi należy twój ojciec, a chyba i Ty jesteś trochę do niego podobna. Dlatego tak trudno dogadać się wam ze sobą. Czujesz, że kochasz ojca, ale dzieli was mur milczenia. Być może, tak samo wygląda sprawa od jego strony. Martwi się, że córka jest mu obca, że nie potrafi się z nią porozumieć. Wydaje nam się, że powinnaś przejąć inicjatywę i nie zrażać się mrukliwością ojca. Mów mu, jak sprawozdawca, o swoich codziennych sprawach, nie czekając na jego udział w rozmowie. Niech wie, że szukasz z nim kontaktu. Może po jakimś czasie i on poczuje potrzebę rozmowy. Mur milczenia zacznie się kruszyć. Wyciągaj ojca na spacery i nie obrażaj się, jeśli będą to milczące spacery. Bądź cierpliwa, okazuj ojcu serdeczność i może w ten sposób znajdziesz do niego drogę, a równocześnie nauczysz się szukać porozumienia nawet z ludźmi skrytymi, nieśmiałymi. Jest to umiejętność bardzo potrzebna – również pomiędzy szkolnymi kolegami, wśród których często bywają skryci milczkowie, wyobcowani z koleżeńskiego życia.

Rodzice jej nie lubią

Mam 14 lat i chodzę do VII kl. Mam 12-letnią siostrę, Alę, której nie lubią rodzice. Mnie pozwalają na wszystko, a jej na nic. Może niektórym mogłoby się zdawać, że powinnam być zadowolona, ale tak nie jest. Nie mogę już dłużej znieść tego ich znęcania się nad młodszą siostrą. Ciągle na nią krzyczą, a kończy się to często rękoczynami. Potem chodzi smutna i zamknięta w sobie, z oczami podpuchniętymi od płaczu. Żal mi jej. Próbowałam wytłumaczyć rodzicom, że źle robią. Nic z tego nie wyszło. W sobotę była taka sytuacja. Siedziałam w pokoju z Alą, włączyłam magnetofon a ona zaczęła podśpiewywać. Wtedy weszli rodzice i zaczęli na nią krzyczeć. Mama uderzyła ją w twarz. Powiedziałam, że to ja włączyłam, a nie ona. Mama na to: „Wygoń z pokoju Alę, to nie będzie tego wycia". Tato też nie jest sprawiedliwy w stosunku do Ali. Ja się chyba zabiję! Może wtedy polubią moją siostrę? To chyba będzie najlepsze wyjście. Wydrukujcie ten list. Mama chętnie czyta „Płomyk", to może zmieni swoje postępowanie.

„Miłka" z Białegostoku

Zamiast „się zabijać" – co traktujemy, oczywiście, jako modny nastolatkowy wykrzyknik, a nie poważną propozycję – postaraj się o to, aby łączyła was z siostrą jak najbliższa przyjaźń. Nie jest to łatwe, gdyż przy takim traktowaniu ze strony rodziców będzie się ona coraz bardziej w sobie zamykać. A z rodzicami spróbuj jeszcze raz porozmawiać na ten temat – bez naszego pośrednictwa. Imiona w twoim liście zmieniliśmy, żeby nie ujawniać waszych rodzinnych kłopotów.

Nie pomogło...

Kochani! Napisałam kiedyś do Was list opisujący mój problem z mamą. Podaliście mi rady, do których próbowałam się dostosować, bo tak bardzo pragnęłam spokoju w domu. Wtedy miałam 13 lat, teraz niedługo skończę 15. Minęło więc dużo czasu, ale między mną a mamą właściwie nic się nie zmieniło. Przeciwnie jest coraz gorzej. Kłótnie po kilka razy dziennie. Doszło do tego, że gdy rano wstaję zadaję sobie pytanie: „Ciekawe, o co dzisiaj pokłócę się z mamą". Boję się, że domowe awantury staną się dla mnie czymś normalnym, a tego bym nie chiała. Dlatego też rozpaczliwie błagam o pomoc.

Kornela

Niestety, nie zawsze rady, nawet teoretycznie najlepsze, mogą się w praktyce okazać skuteczne. Bardzo niewiele piszesz o sobie, nie pamiętamy też, co pisałaś kiedyś. Możemy więc tylko na jedno zwrócić Ci uwagę, że w kłótni uczestniczą zawsze przynajmniej dwie osoby. Jeśli nawet prowokuje ją zawsze jedna strona – to druga może nie dać się sprowokować. Bywa to nieraz trudne, ale zawsze jest możliwe. Dlatego byłoby lepiej, gdybyś budząc się rano postanawiała sobie: dziś choćby nie wiem co, nie dam się wciągnąć w awanturę. A wieczorem pomyśl, czy Ci się rzeczywiście udało, a jeśli nie – to dlaczego. Może dzięki temu sama znajdziesz sposób na swoje zmartwienie?

Życie jest piękne!!!

Na imię mam Magda, Jestem 12-letnią blondynką o krótkich włosach. W szkole uczę się na czwórkach i trójkach, mam wielu przyjaciół, wspaniałych rodziców, kochanego brata i małego pieska – „Supełka". Bardzo kocham mój dom i szkołę. Życie jest piękne! Nie jestem żadną „Miss Polonią", ani „milionerką". Uwielbiam sport, mam dużo dyplomów i nagród, biorę udział w imprezach i konkursach sportowych. Cieszę się życiem. Oczywiście to nie znaczy, że nie mam zmartwień. Mam, ale nie przejmuję się nimi, tak jak inni. Staram się nie stwarzać wokół siebie sytuacji do smutku i kłótni. Drogie Koleżanki i Koledzy, piszcie do mnie!!! Chętnie wysłucham Was, postaram się Wam doradzić i pomóc.
Cześć! Do widzenia!

Magdalena Mendelewska
ul. Rozbrat 34/36 m. 75
00-439 Warszawa

Dawno nie mieliśmy listu tak pełnego radości, energii i życzliwości dla innych. Wystarczy go przeczytać, żeby samemu jaśniej spojrzeć na świat. A komu nie wystarczy – niech skorzysta z nieopatrznie uczynionej przez Magdę propozycji i napisze do niej. Boimy się, że szczęśliwa Magda wpadnie w rozpacz, jak zasypią ją same smutne listy i że nie nadąży z odpisywaniem.
Ale jak pisze, ma wielu przyjaciół. Pewnie też wesołych. Może jej pomogą w odsmucaniu innych?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NRU 4

Odrobina pomyślunku. W pustym polu brakowało liczby 25. Zgodnie z regułą: naprzeciwko siebie leżała liczba oraz jej kwadrat.

W poszukiwaniu trójkątów. Na rysunku można było odnaleźć aż 36 trójkątów (naturalnie, różnej wielkości i niekoniecznie jednakowej barwy).

Za jednym zamachem. Było wiele sposobów, przy których pomocy można było odtworzyć podaną figurę. Jeden z nich pokazujemy.

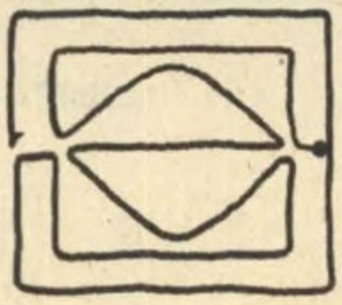

Za prawidłowe rozwiązanie zadań z nru 4 nagrody książkowe wylosowali: *Izabella Cackowska* (Białystok), *Beata Litwin* (Czarna Góra), *Krzysztof Kowalczyk* (Legnica), *Zbigniew Naumowicz* (Płaska), *Ewa Piątkowska* (Gryfice), *Urszula Śniarowska* (Rogienica), *Anna Wiśniewska* (Stąporków)

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z nru 5 – „Wilk nie pasa owiec". Nagrody książkowe za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki wylosowali: *Dorota Gębala* (Lublin), *Piotr Jadziniak* (Jasło), *Beata Kowal* (Mielec), *Mirella Mikołajczak* (Jaksice), *Katarzyna Pielaszek* (Warszawa), *Iwona Urbańczyk* (Siemianowice Śl), *Monika Walkowiak* (Oborniki), *Jolanta Wesołowicz* (Trzcianka)

GIEŁDA HOBBISTÓW nr 280

1. *Andrzej Atłas*, lat 14, znaczki, piosenkarze, piłkarze – 34-650 Tymbark 231
2. *Bożena Bagan*, lat 12, kalendarzyki, przepisy kulinarne, wiersze – LSRR, Wilno, ul. F. Žemaitisa 1–74
3. *Sylwia Basiak*, lat 12, geografia, biologia, filatelistyka, rock – ul. Hutnicza 4/18, 57-550 Stronie Śl.
4. *Małgorzata Bejnar*, lat 15, jęz. niemiecki, zwierzęta, muzyka – ul. Obr. Stalingradu 16a, 73-300 Łobez
5. *Liliana Bergier*, lat 14, geografia, książki, rock, moda – ul. I Armi WP 5/15, 37-700 Przemyśl
6. *Urszula Binkiewicz*, lat 12, historia, filatelistyka, rock – Wilcze Piętki, 96-133 Dańków
7. *Anna Bogucka*, lat 14, film, plakaty, rock – Kolonia Godlewo 18-220 Czyżew
8. *Stanisław Baniusiewicz*, lat 14, pocztówki, zwierzęta, naklejki – ZSRR, 234082, rejon Szałczinikajski, pta Dajnawa, wieś Wierzonie
9. *Iana Bockova*, lat 14, plakaty, muzyka, zwierzęta – CSRR, Cesky Tesin, ul. Nabrezi Miru 93, okręg Karvina 73701
10. *Renata Braun*, lat 15, przepisy kulinarne, moda, rock – Bujny 109a, 97-300 Piotrków Tryb.
11. *Marek Car*, lat 13, jęz. hebrajski, poezja, balet, muzyka – ul. Nowotki 66, 17-100 Bielsk Podlaski
12. *Ilona Chodnicka*, lat 13, akwarystyka, znaczki, fantastyka (S. Lem) – ul. Centurii 11, 04-944 Warszawa
13. *Izabela Daniel*, lat 15, języki obce, ZHP, biologia, poezja – ul. Barlickiego 315, 55-080 Kąty Wrocławskie
14. *Andrzej Dmitruk*, lat 15, motoryzacja, prospekty, rock – ul. Pułaskiego 2/65, 06-200 Maków Maz.
15. *Beata Domagalska*, lat 15, jęz. obce, film, rock – Marianów 3, 62-841 Rajko
16. *Beata Durczak*, lat 15, archeologia, historia starożytna, rock – Os. XXX-lecia PRL 9a/6, 63-300 Środa Wielkp.
17. *Paweł Dycha*, lat 15, fizyka jądrowa, astronomia, numizmatyka – ul. M. Dąbrowskiej 33, 28-200 Staszów
18. *Dorota Dziób*, lat 13, biologia, książki, widokówki – ul. 14 Stycznia 113/48, 28-300 Jędrzejów
19. *Krystyna Efler*, lat 14, jęz. rosyjski, widokówki, znaczki – ul. 25-lecia PRL 1/34, 36-100 Kolbuszowa
20. *Renata Faja*, lat 14, kalendarzyki, naklejki, pocztówki (zwierzęta) – ul. 6 Szpna 15/1170, Hovirov – Hroni Sucha, okr. Karvina 735 35 CSSR
21. *Katarzyna Feter*, lat 14, jazda konna, plastyka – ul. Harcerska 12/4, 62-800 Kalisz
2. *Waldemar Glamowski*, lat 13, filatelistyka, książki, tarcze szkolne – ul. Gałczyńskiego 19/15, 85-322 Bydgoszcz
23. *Agnieszka Górniewska*, lat 13, jęz. obce, znaczki, piosenki, rock – Brusów 31, 08-500 Ryki
24. *Mirek Grodzki*, lat 15, turystyka, sport, rock – ul. Dobrowolskiego 1b/2, 80-801 Gdańsk-Morena
25. *Iwona Grzymkowska*, lat 13, chemia, film, rock – ul. Sienkiewicza 2/13 m 49, 06-500 Mława
26. *Agnieszka Haratym*, lat 12, historia, jęz. polski, rock, moda – Zazółkiew 61, 22-300 Krasnystaw
27. *Jacek Haziak*, lat 12, znaczki, filatelistyka, plakaty – ul. Moniuszki 3/17, 59-400 Jawor
28. *Alina Iwaszkiewicz*, lat 14, jęz. angielski, hiszpański, pocztówki, plakaty – ul. Dzierżyńskiego 53/2, 81-743 Sopot
29. *Dorota Jakimiuk*, lat 13, geografia, filatelistyka, pocztówki (psy, bajki) – 21-504 Rokitno
30. *Beata Jaskulska*, lat 14, biologia, „złote myśli", rock – ul. Sawickiej 4/6, 14–300 Morąg
31. *Marzena Jastrzębska*, lat 12, historia starożytnej Grecji, pedagogika, widokówki – ul. Grunwaldzka 10/57, 18-300 Zambrów
32. *Marlena Kalska*, lat 12, geografia, biologia, przewodniki, pocztówki – ul. Ostrowiecka 3/19, 26-600 Radom
33. *Dorota Kiryluk*, lat 14, matematyka, książki, pocztówki, rock – Al. Wojska Pol. 52/7, 80-268 Gdańsk
34. *Urszula Kiszka*, lat 12, geografia, twórczość własna – Ciosmy 46, 37-414 Huta Krzeszowska
35. *Magdalena Kiwalska*, lat 14, matematyka, książki, muzyka – ul. Lumaczowskiego 152/57, 91-032 Łódź
36. *Ireneusz Kokoszka*, lat 12, biologia, ornitologia, pszczelarstwo – 33-224 Żarówka 200
37. *Ala Komolubio*, lat 13, nalepki, widokówki, zwierzęta – LSRR, 234096, Szalczyninkski rej, Taboryszki
38. *Piotr Korniak*, lat 12, filatelistyka, rock – ul. Kopernika 12/77, 39-400 Tarnobrzeg
39. *Alina Korycka*, lat 14, pocztówki, humor, rock – ul. M. Ćwiklińskiej 2/12, 20-067 Lublin
40. *Barbara Kostarczyk*, lat 13, geografia, biologia, znaczki – ul. Buczka 1/22, 42-300 Myszków
41. *Sławomir Kozłowski*, lat 13, widokówki, prospekty samochodowe, drużyny piłkarskie – Wąsosz Dolny 62, 42-110 Połów
42. *Anna Krasowska*, lat 13, geografia, filatelistyka, moda – ul. gen. J. Bema 8/7, 14-300 Morąg
43. *Beata Krawczyk*, matematyka, esperanto, jęz. rosyjski – ul. Żeromskiego 54/3, 69-200 Sulęcin
44. *Elżbieta Król*, lat 15, jęz. polski, psychologia, książki, muzyka – 22-432 Czermięcin
45. *Alicja Krysa*, lat 14, sport, filatelistyka, numizmatyka – Storkowo 49a/2, 73-140 Ińsko
46. *Małgorzata Kruszyńska*, lat 15. jęz. francuski, horoskopy, muzyka – ul. Działowskiego 10/3 87-100 Toruń
47. *Hanna Książek*, lat 15, rock (plakaty, płyty) – ul. 3 Maja 36/29, 68-110 Siedlce
48. *Ewa Kubiak*, lat 14, matematyka, plakaty, rock – ul. Słowackiego 1/7, 57-530 Międzylesie
49. *Jan Kalik*, lat 14, jęz. angielski, esperanto, karate – ul. J. Krasińskiego 46, Tofiłowce, 17-204 Dubicze
50. *Małgorzata Kulwicka*, lat 14, medycyna, pocztówki, rock – Ojcowo – Wola 2, 14-420 Młynary
51. *Ewa Kwiek*, lat 12, książki, rock – ul. Osiedlowa 17a/58, 26-600 Radom
52. *Jolanta Lemieszonok*, lat 13, naklejki, pocztówki (psy, koty) – LSRR 232053, Wilno, ul. Jankiszkiu 13/1
53. *Leszek Leśniewski*, lat 13, znaczki, widokówki, proporczyki – ul. Nowa 7, 18-100 Łapy
54. *Violetta Łaszcz*, lat 15, biologia, plastyka, muzyka, sport – Wilczanka 77, 24-104 Kośmin
55. *Alina Łukaszewicz*, lat 15, matematyka, geografia, jęz. niemiecki, rosyjski – LSRR, 232010, Wilno, ul. Duksztu 18-98
56. *Magdalena Majcher*, lat 15, geografia, Indianie historia (Grecja, Rzym) – ul. Legnicka 13/11, 70-134 Szczecin
57. *Agnieszka Maksymowicz*, lat 13, horoskopy, humor, rock – ul. Startowa 23/29, 80-461 Gdańsk-Zaspa
58. *Lucyna Malinowska*, lat 14, biologia, sport, muzyka, zwierzęta – Filipów II, 16-424 Filipów
59. *Barbara Mandziukiewicz*, lat 13, nalepki, naklejki, filatelistyka – LSRR, Wilno 51, ul. Ejdukiawicziusa 45/100
60. *Robert Mularczyk*, lat 13, lotnictwo, geografia, modelarstwo (samoloty) – Celiny 117, 32-099 Sieciechowice
61. *Inga Muzalewska*, lat 12, Starożytny Wschód, akwarystyka – ul. Burzyńskiego 8g/19, 80-462 Gdańsk
62. *Marek Nocoń*, lat 15, filatelistyka, akwarystyka, karate, plakaty – ul. Iłowa 1, 30-724 Kraków
63. *Paweł Olszak*, lat 15, wschodnie walki, psy, rock – ul. Wspólna 1, 28-300 Jędrzejów
64. *Małgorzata Olszewska*, lat 14, zwierzęta, rock – ul. Moniuszki 56/1, 56-400 Oleśnica
65. *Małgorzata Ostrowska*, lat 14, rock (plakaty, płyty, plakietki), moda – ul. Zachodnia 2/46, 20-620 Lublin
66. *Monika Ostrowska*, lat 14, medycyna, plakaty, moda – ul. Jachowicza 35/6, 09-400 Płock
67. *Anna Osuch*, lat 12, matematyka, piosenki, widokówki – Probołowice 50, 28-426 Pełczyska
68. *Barbara Ośkiewicz*, lat 12, jęz. angielski, matematyka, muzyka elektroniczna – ul. 3 Maja 11/28, 42–400 Zawiercie
69. *Mirosław Pawełczyk*, lat 14, znaczki, hodowla królików, karate – Bilczew 5, 28–152 Dobrowola
70. *Beata Pilutkiewicz*, lat 13, plakaty, horoskopy, sport, rock – Os. Kaszubskie 11/13, 84–200 Wejherowo
71. *Beata Plakut*, lat 14, biologia, fizyka, jęz. angielski rock – ul. Fornalskiej 2/6, 22-600 Tomaszów Lub.
72. *Marzena Płońska*, lat 14, matematyka, humor, wiersze do pamiętnika – Jabłoń Piotrowce 6, 18-211 Jabłoń Kościelna
73. *Anna Pniewczuk*, lat 14, historia, chemia, rock – ul. Lutyków 12a, 78-200 Białogard
74. *Zbigniew Przybylski*, lat 14, książki, znaczki, plakiety – ul. Żwirki i Wigury 31, 44-337 Jastrzębie Zdrój
75. *Monika Rutkiewicz*, lat 15, medycyna, sport, muzyka – Os. Zwycięstwa 23/58, 61-650 Poznań
76. *Michał Rychcik*, lat 12, geografia, historia, muzyka, sport – ul. Warszawska 28a/1, 14-260 Lubawa
77. *Daria Skrzat*, lat 13, biologia, wulkany, filatelistyka, serwetki – ul. 1 Sierpnia 31/63, 02-139 Warszawa
78. *Joanna Smykała*, lat 12, kwiaty, muzyka – ul. Leśna 23, Steblów, 47-361 Dobra
79. *Bożena Staniewicz*, lat 13, rock (plakaty zespołów) – LSRR 232019, Wilno ul. Giałwonu 44/12
80. *Agnieszka Stolarska*, lat 13, jęz. francuski, anegdoty, horoskopy – ul. Boh. Modlina 61/77, 05-100 Nowy Dwór Maz.
81. *Longina Sułkowska*, lat 15, biologia, rock, piosenkarze – Kaliś 28, 32-340 Wolbrom
82. *Sylwia Szeglowska*, lat 15, chemia, plakaty, sport, rock – ul. Kołobrzeska 45a/20, 80-396 Gdańsk-Oliwa
83. *Agnieszka Szymczak*, lat 12, muzyka, piosenki, moda – ul. Świerczeskiego 5/3, 31–116 Kraków
84. *Agnieszka Śliwińska*, lat 14, biologia, plakaty, pocztówki, rock – ul. Makowska 66/22, 06-301 Przasnysz
85. *Halina Telążka*, lat 14, krzyżówki, temperówki, kalendarzyki – 97-414 Kurnos II, 50
86. *Jolanta Terlecka*, lat 15, rock (plakaty, kasety), moda – ul. Świerczeskiego 22/1, 11-440 Reszel
87. *Agnieszka Tomczak*, lat 13, pocztówki, przepisy kulinarne, moda – ul. Hetmańska 33/9, 60-251 Poznań
88. *Marzena Trębacz*, lat 14, historia, botanika, plakaty – ul. Okrzei 14/38, 20-128 Lublin
89. *Tomasz Trusiuk*, lat 13, archeologia, znaczki, pocztówki, karate – ul. Wyspiańskiego 13e/20, 76-15 Darłowo
90. *Tomasz Urban*, lat 12, II wojna światowa, okręty wojenne, piłka nożna – ul. Daszyńskiego 17a/6, 11-500 Giżycko
91. *Urszula Wania*, lat 12, jeździectwo, konie, widokówki – CSSR 735-33 Orlová-Doubrava 714
92. *Monika Wicińska*, lat 12, historia sport, rock, psy – ul. Otolińska 15/44, 09-402 Płock
93. *Eryk Wieczorek*, lat 13, historia, archeologia, piłka nożna – ul. Miodowa 12/2, 05-300 Mińsk Maz.
94. *Karolina Wilk*, lat 13, chemia, Indianie, rock – ul. Okólna 124/48, 42-200 Częstochowa
95. *Natasza Winogradowa*, lat 12, widokówki, nalepki, piosenki – LSRR, 234042, Wileński rej. pta Traku-Wokie, wieś Daniliszki
96. *Irena Wójcik*, lat 15, rock, teksty piosenek – LSRR, 232036 Wilno 36, ul. Mlłejszyszkes 3/1
97. *Mirosław Wójcik*, lat 15, matematyka, jęz. niemiecki, gitara – ul. Żeromskiego 3/43, 37-450 Stalowa Wola
98. *Edyta Wrona*, lat 15, chemia, pocztówki, kasety – ul. Śląska 22, 42-255 Szczekociny
99. *Beata Zarzyczna*, lat 15, historia, speleologia, słynni pisarze – ul. Nowa 3/19, 38-700 Ustrzyki
100. *Ewa Zbylut*, lat 14, geografia, filatelistyka, fotografika – Os. Złoty Wiek 26/90, 31-617 Kraków, Nowa Huta

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie	120 zł
półrocznie	240 zł
rocznie	480 zł

WARUNKI PRENUMERATY

● **Dla prenumerat indywidualnych:**

– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

– osoby zamieszkałe w miastach, w których znajdują się Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora; wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty";

● **Dla instytucji i zakładów pracy:**

– instytucje i zakłady pracy w miastach, w których znajdują się Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w tych oddziałach;

– instytucje i zakłady pracy w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11; prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

● **Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:**

– na III kwartał i na II półrocze do 1.VI., na IV kwartał do 1.IX.

Dwutygodnik dla młodzieży
10 maja 1985 r. – Warszawa
Skład oraz druk wykonały Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego" w Warszawie.

Nakład 350 000 egz.
Zamówienie nr 1261/CD. N-24
ADRES REDAKCJI
00-950 Warszawa
ul. Spasowskiego 4
skrytka pocztowa 380

TELEFONY
26-24-31 w. 82 lub 80
26-26-31 (redaktor naczelny)

INDEKS: 36876

KRZYŻÓWKA z IDOLEM

Objaśnienia haseł na str. 17

Małgorzata Ostrowska z zespołu „Lombard"

Fot. Mirosław Stępniak

CENA 20 zł